Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1888. Rok XI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

ROZWÓJ I ZNACZENIE MYŚLIWSTWA.

Według

M. HOHENBERGA.

Przemiany, jakim uległo myśliwstwo od czasów najdawniejszych, aż do dnia dzisiejszego, tworzą obraz tak urozmaicony, że mogą nietylko zawodowego myśliwca, lecz w ogóle każdego myślącego człowieka zainteresować. Ileż to charakterystycznych rysów, począwszy od owego pierwotnego człowieka, który musiał być łowcą, aby się bronić przed napadami drapieżców i zdobywać środki do życia — a skończywszy na zwolenniku dzisiejszego myśliwskiego sportu, co to już prawie przestał być szlachetnem rzemiosłem łowieckiem! Jestto jedno barwne pasmo z dziejów cywilizacyi człowieka.

Najpierwszy myśliwy zamieszkiwał jaskinie naturalne, które musiał wprzód na groźnym niedźwiedziu jaskiniowym, pierwotnym ich właścicielu, zdobywać. Liczne kości ludzkie obok kości niedźwiedzia, napotykane w odkrywanych po dziśdzień jaskiniach, są poniekąd dowodem tych zapasów na śmierć i życie między strasznym drapieżcą, a bezbronnym prawie człowiekiem, który przecież zdobywał na niedźwiedziu i mięso jego na pokarm i futro na okrycie. W jaskiniach owej ery przedhistorycznej, szczególniej w jaskiniach, odkrytych w Belgii i Szwajcaryi, znaleziono kości należące do wielu gatunków zwierząt. Psa jednak, jako towarzysza i pomocnika na łowach, nie miał człowiek podówczas, te bowiem resztki psich szkieletów, które w jaskiniach odnaleziono, wskazują, że pies ówczesny, nazwany „psem torfowym“, był tylko małym, nikłym, a więc do łowów nieprzydatnym przedstawicielem psiego rodu.

O wiele większe znaczenie, tak ze względu na myśliwstwo, jakoteż na psy, mają wykopaliny, należące do peryodu bronzowego. Łowy stały już wówczas na wyższym stopniu rozwoju i były prowadzone nietylko dla utrzymania życia, lecz także dla rozszerzenia i utrwalenia władzy człowieka nad coraz szerszymi obszarami ziemi. Broń tego peryodu, w porównaniu z kamiennemi grotami i siekierkami epoki kamiennej, okazuje się już wytworem dojrzałego namysłu i doświadczenia, usiłującego uczynić ją najwłaściwszem narzędziem do zamierzonego celu.

Ogromna ilość kości, które znachodzi się z zabytkami epoki bronzowej, a między temi kości zwierząt, jakich nie można było w większej ilości bez pewnych fortelów myśliwskich ułowić, wskazują, że sztuka łowiecka musiała już podonczas stać znacznie wyżej. Czego zaś łowy w borach

i polach nie dostarczyły człowiekowi jako pożywienia, to musiało uzupełnić rybołowstwo, co szczególniej widzimy w epoce budów palowych.

Oprócz zabytków broni i kości zwierząt łownych, interesują nas w wysokim stopniu odnajdywane między zabytkami tej epoki czaszki psów, i to takich, o których można przypuszczać, że były już przez człowieka do pomocy w łowach używane. Czaszka psia z epoki bronzowej najpodobniejszą jest do czaszki psa irlandzkiego, używanego na wilki.

Za czasów Rzymian używanym był pies tego gatunku do łowów na niedźwiedzie, wilki, odyńce, na łosie i żubry, i takiem prawdopodobnie było jego przeznaczenie w owej epoce przedhistorycznej. Mieszkańcom osad palowych towarzyszyły także owe psy w puszczę leśną i udzielały im pomocy w prawidłowszem już nieco polowaniu na drapieżców i w ogóle grubą zwierzynę.

To był pierwszy zawiązek późniejszych wypraw łowieckich. Mieszkańcy osad palowych, zabrawszy ze sobą o ile możności jak najwięcej psów, wybierali się w najbliżej położone bory, które już siekiera bronzowa, wybierając materyał na budynki, co nieco przerzedziła. Wyszukiwanie i ubijanie zdobyczy stało się o wiele łatwiejszem przy pomocy chyżych i silnych psów. Miało to więcej uroku, niż chwytanie zwierzyny w samołówki, lub ubijanie jej na zasiadce. Tu zatem dane są początki właściwego myśliwstwa.

Najstarszymi zapiskami o myśliwstwie i jego urządzeniach, są znaki hieroglificzne starego Egiptu, a mianowicie z czasów XII. do XIX dynastyi królów egipskich, to znaczy na 17 do 12 wieków przed Chrystusem. Przy odkryciu grobowców owej epoki, znaleziono cenne papyrusy, na których między innymi znajdują się ciekawe zapiski co do użycia psów i całych złaj myśliwskich. Złaja składała się z 200 do 300 psów. Z pomocą dwa lub trzy razy tak wielkiej gromady niewolników jako nagonki i tej złai, urządzano jak największe polowania. Na ścianach grobowców znachodzimy rysunki, a w papyrusach wzmianki o psie wielkim, długoogoniastym, który się odznaczał nietylko chyżością pogoni, lecz nadto wytrwałością w ściganiu zwierza. Owym tak sławionym psem był używany po dziś dzień w Afryce do polowania chart północno-afrykański, tz. „Slughi“. W teraźniejszej swojej postaci jest on jeszcze do wzmiankowanych rysunków w grobowcach królewskich podobnym i daje nam wyobrażenie najstarszej rasy psów myśliwskich. W dzisiejszych północno-afrykańskich chartach, w charcie szkockim i długowłosym angielskim, w tych najbliższych pobratymcach irlandzkiego psa na wilki, widzimy potomstwo psa z epoki bronzowej. Dodać do tego należy, że dzisiejszy nasz jamnik, zwany „tekel“, jest już również na grobowcach egipskich wyobrażony, że zatem i on należy do najstarszych przedstawicieli psiego rodu, a prawdopodobnie i nazwę swoją z Egiptu wywodzi.

Rozwój psich ras, odpowiadających rozmaitym celom myśliwskim, jest z rozwojem myśliwstwa bardzo ściśle złączony, a nawet sposób polowania był przeważnie od rodzaju psów zawisłym, przynajmniej aż do czasu, w którym wynalazek broni palnej skierował myśliwstwo na całkiem odmienne tory. Niestety annale historyczne nie dozwalają nam śledzić z całą ścisłością rozwój sposobów polowania, gdyż w zapiskach kronikarskich nie mamy szczegółowych opisów o wyprawach łowieckich i fortelach, jakich myśliwi używali. Z czasów przedhistorycznych zaś mogliśmy tylko wyprowadzić pewien szereg wniosków, opierając się na rozmaitych a bogatych zabytkach tej zamierzchłej przeszłości.

W epoce kamiennej używano do polowania oszczepów z kamiennymi grotami, maczug, procy i dłut kamiennych. W epoce bronzowej zostały te narzędzia udoskonalone i utrzymały się dopóty, dopóki nie rozpowszechniły się z Azyi strzała i łuk jako broń myśliwska. Samołówki, doły nakrywane gałęziami i t. p. służyły także do chwytania zwierząt, później zaś ogradzane części lasu, do których z pomocą psów większą ilość zwierzyny zapędzano i tam ją w miarę potrzeby ubijano. Rozumie się, że im niedołężniejsze były środki pomocnicze, którymi człowiek przy polowaniu się posługiwał, tem więcej trzeba było odwagi osobistej, chytrości i wytrwałości, aby coś ułowić.

Badanie sposobu życia i zwyczajów zwierząt, musiało oczywiście obmyślanie środków łowieckich poprzedzać. W czasach przedhistorycznych nie było ono trudnem, gdyż sama mnogość zwierzyny ułatwiała łowy. Gdy jednak trzebieżą lasy się przerzedzały, a zwierz uchodził coraz głębiej przed swym prześladowcą, człowiekiem — gdy strzała i łuk weszły w użycie, koń i sokół zaczął być towarzyszem i pomocnikiem łowcy, a wreszcie szybkonogie i wytrwałe psy służyć mu poczęły zamiast tych, które łowcy przedtem raczej tylko swą siłą i zażartością pomoc dawały — zaczęła się wytwarzać istna sztuka łowiecka.

Z całości zajęć ludzkich wyłonił się też specyalny zawód myśliwego. Gdy pośród rozmnażających się osad ludzkich przystąpiono do uprawy roli i trzebieży lasów, spadł na myśliwego obowiązek obrony całych okolic od napadu dzikich zwierząt. Samo łowiectwo nie było już w stanie zaspokoić potrzeb liczniejszej osady ludzkiej; na rolnictwo i chów bydła przypadała przeważna część troski o utrzymanie życia. A chociaż rolnik i pastuch pozostali jeszcze myśliwcami, nie mogli się przecież łowom w zupełności oddawać, i pozostawili to myśliwym z zawodu, którzy ich dobytek od napadu zwierząt, a następnie i od chciwych rozboju ludzi ochraniali, wytwarzając tem samem zastęp łowców i wojowników.

Tępienie zwierzyny przez każdego, gdziekolwiekbądź i w jakiejkolwiek porze roku, przyczyniało się bardzo do rychłego zmniejszenia jej stanu. Tur, łoś i jeleń zaczęły też ubywać. Już w IX. stuleciu naszej rachuby historycznej był tur i łoś w znacznej części środkowej Europy zwierzęciem dość rzadkiem, a łowy ograniczały się przeważnie do jelenia.

Germanów, którzy w hercyńskich borach uganiali się za niedźwiedziem, turem i łosiem, a którzy do wypraw myśliwskich używali jedynie oszczepu, dziryta, miecza i kordelasa, przewyższali znacznie Gallowie tak co do zręczności, jak i przyborów myśliwskich. U Gallów można już było wcześnie znaleść najlepsze psy i znacznie prędzej niż Germanie zaczęli oni używać konia do łowów.

U Allemanów, przy łowach na tura i łosia, znajdujemy już później w użyciu wietrzące za tropem tropowce, gończaki i ogary. Tropowcami wynajdywali legowisko zwierza, gończakami zaś i ogarami gonili go i osadzali, dopóki myśliwy z bronią nie nadążał. Allemanie umieli także za pomocą psów spędzać zwierzynę w zagrodzenia leśne, gdzie ją dopiero pojedyńczo ubijali. Na niedźwiedzia i tura szczwane były właściwe ogary; gdy one zwierza osadziły, rzucał się nań człowiek z kordelasem i oszczepem w ręku. Podobnież polowano już podówczas na odyńca, który był bardzo rozpowszechniony.

Wzmianka tropowca, praojca naszego psa tropiącego, przekonywa nas, że był on już przed tysiącem lat w wysokiej cenie, jako pomocnik myśliwca. Kary za kradzież

lub za ubicie takiego psa były jak najsurowsze, ludzie zaś, którzy się znali na zaprawianiu tropowca do łowów, byli w wielkiem poszanowaniu u myśliwych, z czego widać, że umiano jak należy cenić wielkie usługi, jakie pies oddawał myśliwemu.

W czasach przed Karolem W. musiał już ubytek grubej zwierzyny stawać się widocznym, skoro monarcha ów uważał za stósowne wydać pierwsze przepisy o łowiectwie.

Karol W. zastrzegł dla siebie samego prawo łowów na pewne szlachetniejsze rodzaje zwierza w pewnych krajach obszernego swego państwa, oddawał zaś łaskawie łowy na wszelką inną podrzędniejszą zwierzynę ulubionym dworzanom, zlecając im równocześnie czujność nad przestrzeganiem wydanych przepisów. Nie było to łatwem, gdyż wszechwładni panowie z trudnością tylko poddawali się pewnym ograniczeniom w najswobodniejszych dotąd łowach. Lecz przepisów królewskich przestrzegano surowo i weszły zwolna w życie pewne prawa i przepisy, które uznano za niezbędne. I do tych to pierwszych królewskich przywilejów łowieckich odnieść należy rozróżnianie łowów na grubego zwierza i polowania na zwierzynę płową, które było także dostępne myśliwym, nie należącym do królewskiej drużyny myśliwskiej.

(Dokończenie nastąpi.)

W wilczym dole.

Opowiadanie

ALEKSANDRA UBYSZA.

Przed laty zamieszkałem w górach Sanockich, i to w samem Podbeskidzie, do którego śmiało przypowieść przytoczyć by można, że tam „świat deskami zabity“. Nie w innym celu zamieszkałem ten przepiękny latem, groźny zimą, a nudny i smutny nie do określenia „garbaty świat“, jak aby, o ile mi się uda, poznać jego faunę, a po części i florę. Wiosną i latem dostępne są Beskidy z wszystkiemi swemi odnogami — zimą zaś z przyczyny niesłychanych zawiei niemożliwe. A jesienią, osobliwie późną, gdy słoty i mgły zamroczą całą okolicę, to już chyba nie sposób. Najzagorzalszy nawet turysta lub myśliwy, musi jak to mówią „dać za wygranę“ i z pokorą poddać się wyrokom mgieł, deszczów lub śnieżyc.

Doświadczyłem tego na sobie, przemieszkując rok cały w owych górskich stronach. Mimo całej mojej chęci pokonywania tej narowistej aury — niby mnich odsiadywać musiałem rekollekcye od późnej jesieni, aż do samej wiosny. Przedtem, t. j. na wiosnę i przez lato, aż do końca września, ciągłe robiłem wycieczki po okolicy lub w „wysoki“ czyli właściwy Beskid, lecz rzadko odwiedzałem ludzi. Rzadkim też byłem gościem w Krywem, w domu ciotki mojej, kobiety przeszło 70-letniej. Miałem jej niby pomagać w gospodarstwie, lecz jaką była ta pomoc, wolę zamilczeć — dodam tylko, że na brak zwierzyny nigdy nie narzekała.

Przy dworze ciotki mojej, na nadanej mu pustce, siedział Mortko „krawiec damski“. Główną on odegra rolę w niniejszem opowiadaniu, przeto w krótkości skreślę życiorys i czyny tego ciekawego w pewnych względach żydka.

Mortko był sierotą po zmarłym wędrownym krawcu. Małym jeszcze „szajgecem“ przywędrował do Krywego, gdzie ojciec jego zakończył życie. Matka przedtem umarła, więc Mortko był najzupełniejszym sierotą. Liczył podówczas około dwunastu lat. Pozostał przy dworze, objąwszy funkcyę psiarczyka, do kilkunastu sfór ogarów ś. p. wuja mego. Żyd psiarczyk! — niezwykłość w swoim rodzaju — tak było jednak. Mortko później wodził gończaki w Otryt, Magórę lub nawet w Beskid, spuszczając takowe ze sfór gdzie Fedio, myśliwy nadworny rozkazał. Czy Mortko nabrał ochoty do strzelby? — nie! W tym względzie był prawdziwym synem Judy, czując rodowy wstręt do palnej broni. Przebrany w liberyę, zapomnianym był nawet przez swego współwyznawcę arendarza we wsi. Jadł przeto „chazer“ (wieprzowinę) i nie obchodził szabasów.

Lecz litość ciotki mojej, wróciła biednego żydzinę na drogę ojcowskiego zawodu. Że przy ojcu swoim nauczył się już był nieco krawiectwa, więc oddała go na naukę do damskiego krawca do Liska. Tam na nowo przybrawszy formy żydowskie, zepsuwszy sobie język żargonem żydowskim, po kilku latach terminu powrócił do Krywego jako znakomity damski krawiec. Było to jeszcze za czasów pańszczyzny; więc za nadaną sobie „pustkę“ (t. j. grunt rustykalny, którego właściciele wymarli bezpotomnie) i „hyżę“ (chatę), odrabiał pańszczyznę krawiectwem.

Nie czuję się powołanym do sądzenia, o ile Mortko wydoskonalonym był w swym kunszcie. Dodam tylko, że za dawniejszych lepszych czasów, gdy to *antiquo modo*, w ziemi Sanockiej kwitły kuligi — Mortko słynął z dobrego kroju damskich i męskich kostiumów krakowskich i bywał przez okolicę rozrywanym. Zdarzały się nawet wypadki, że suknie damskie roboty Mortka robiły na balach i zabawach domowych furorę. Cóż, kiedy właścicielki owych arcydzieł kunsztu krawieckiego podawały je jako dzieła pierwszych krawców lwowskich, Chylińskiego i Wiszkona.

Jedną jeszcze posiadał Mortko rzadką w swoim rodzaju specyalność, tę mianowicie, że w locie zadziewał muchy na igłę. Przesiadując nieraz przy Mortku, w czasie jego krawcowania, widziałem i podziwiałem te jego dziwne łowy, które doprowadził do artyzmu. Rzadko kiedy zrobił „pudło“. Oto przelatuje mucha — pal Mortku! — wołam — mignął igiełką, i mucha tkwi już zadziana na ostrzu stali.

Najbliższem, bo tylko trzy mile od wsi Krywego oddalonem miasteczkiem są Lutowiska. Nędzna to i do dziś

mieścina, posiada jednakowoż krajową reputacyę z jarmarków dorocznych i targów co czwartek, na których wyłącznie rogate bydło się sprzedaje. Nie mówiąc już o jarmarkach, albowiem na ów czas spęd górskiego bydła liczy się na kilka tysięcy sztuk, mają ich i targi czwartkowe po kilkaset sztuk, a z tej przyczyny zjazd na targach bywa również liczny. Mortko wyjeżdżał także na targi, jako nadworny dostawca artykułów sklepowych dla mej ciotki, za co oprócz małego honoraryum, dostawał jeszcze konia pod wierzch do tej niezbyt dalekiej, ale żmudnej przez góry, rzeki i potoki wiodącej podróży do Lutowisk.

Otóż nadszedł raz znowu i przezemnie upragniony czwartek — upragniony, albowiem wyszedł mi proch strzelniczy i tytoń. Piszę tedy na olbrzymiej konotatce, podanej Mortkowi: proch i tytoń. Mortko wziął konotatkę i wyruszył w drogę na klaczy zwanej „Melnyczką“.

Pielgrzymi na owe targi wracali zazwyczaj drugiego dnia, t. j. w piątek około południa. W dniu tym z niecierpliwością oczekiwałem pejsatej poczty. Minęło południe — nie ma Mortka. Wreszcie i krótki listopadowy dzień wieczornym pokrywa się zmrokiem, a posła nie widać. Zniecierpliwiony posyłam do chaty Mortkowej, czy już powrócił — odpowiedziano, że jeszcze nie. Nareszcie chłopak od stajni przybiega i woła:

— Baczu, szczo żyd je, bo „Melnyczka“ mokrisińka pryjszła pid stajniu.

Byłem pewny, że za chwilę zjawi się i Mortko. Nie przyszedł. Posłałem przeto do jego chaty, obiecując sobie sfukać żyda, że klacz samopas do dworu wypuścił. Tymczasem w chacie larum, niespokój, bo Mortka jeszcze nie było. I mnie mocno zaniepokoił ten wypadek, tem bardziej, że „Melnyczka“, znana ze swego lenistwa, wróciła dość zmachana. Co się z żydem stać mogło? Może utonął? Było to możliwe, bo przed wieczorem poczęły przybierać wody na Sanie. Klacz wróciła do domu mokra; widocznie z Mortkiem przebywała San. Zaniepokoiłem się więc losem Mortka, którego, że był dobrym człowiekiem, polubiłem. Pomyślałem tedy, że jeśli do następnego rana się nie zjawi, urządzę wyprawę celem poszukiwania zatraconego.

Że przygoda jakaś wydarzyć się musiała, byłem niemal pewnym, bo mi wiadomo jak skrupulatnymi są żydzi w obserwowaniu dni piątkowych, w których zachodzi „szabas“. Nagły tylko wypadek zatrzyma żyda w niedalekiej od domu podróży. W razie nawet spóźnienia, wedle Talmudu, obowiązanym jest pieszo do domu wrócić, i odbyć przepisane nabożeństwo. Mortko i w sobotę rano nie wrócił. Począłem zatem organizować wyprawę.

Do walnej narady wojennej wezwani zostali: Proć Baga, który tak znał wszystkie drogi i drożynki przez Otryt, jak nikt inny w okolicy, i Józef, szewc z profesji, który na razie pełnił funkcyę leśniczego.

— Zaraz przyjdę proszę pana — mówi Józef — ale pierw coś zrobię.

Poszedł — naraz usłyszałem głośne trąbienie i nawoływanie: „Mortku, Mortku! na tu! tu!“

— Kto to woła, zkąd?

Pokazało się, że Józef, wszedłszy do pustej gorzelni, trąbi i nawołuje w komin.

— Cóż za głupstwa ciebie się trzymają — mówię — rzecz ważna, czas nam iść, a ty czas haisz.

— Et, proszę pana, ja czaruję. Bywało za nieboszczyka pana dziedzica, skoro się psy gończe gdzie zagoniły, tośmy trąbili i nawoływali, aby się do domu wróciły i rychtyk, zawsze psy po pewnym czasie wróciły lub się odnalazły.

— Czyś ty zwaryował? — ofuknąłem go — dobre to może na psy, ale nie na ludzi.

— A bo żyd człowiek? — odburknął Józef nieprzekonany. — Co prawda, to zawsze prawda; niech Proć zaświadczy...

Wyruszyliśmy samotrzeć z przed dworu, gdy wtem zajeżdża na dziedziniec pan Haberman, sędzia, *recte* mandataryusz krywiecki, mieszkający w sąsiednim przysiółku Tworyńczuku. Sobota była jego dniem sądów, przypadających na Krywe, toż się po zwyczaju jawił. Chłopi zwali dzień ten, częstokroć bardzo dla nich gorżki, dniem „mandatarskim“.

Niesposób mi puścić się w dalszą pogoń za Mortkiem, dopóki nie opiszę choć w krótkości tej ciekawej postaci.

Pan Haberman, pomimo niemieckiego nazwiska, tyle miał w charakterze i osobie swojej niemieckiego, ile ja. Pochodząc z dolnego Sanockiego, po polsku mówił mazurskim akcentem, po rusku zaś śmieszną jakąś mięszaniną, a po niemiecku — że aż boki bolały. Kuryozami były wszelkie jego „Berychty“ do cyrkułu, gdy je pisał bez pomocy swego pisarza. Znał w tej mierze swoje nieuctwo, toż zawsze towarzyszył mu pisarz jego Guzik, wysłużony feldwebel austryacki.

Jak wyglądał pan Haberman? — Na stosunkowo dość długiem, a mocno chudem ciele, sterczała główka dziwnego kształtu, niby ogórek, górą naprzód zakrzywiona, przy szpiczastej brodzie w tęż stronę zakrzywionej. Żółta cera twarzy uzupełniała do reszty podobieństwo głowy pana Habermana do ogórka nasiennika, lub, jak to rysują w kalendarzu, do księżyca na nowiu. Porost głowy i twarzy bardzo skąpy a oczy czarne, kolące, jak u gadziny — uprzedzały już naprzód, że był zły i opryskliwy. Szczególniej dla chłopów był istną gadziną. W przeróżny sposób ich wyzyskiwał, wyduszając haracz w postaci kur, jaj, masła, bryndzy i t. p. artykułów. Nawet Mortko był w jego niewoli.

W r. 1809 wyszło było rozporządzenie rządowe, zakazujące żydom dzierżawić karczmy, niemniej nabywać lub dzierżawić grunta włościańskie, tak zwane rustykalne. Ostatnie rozporządzenie zniesiono wprawdzie, lecz Mortko o tem nie wiedział, i chociaż miał sobie przez dwór na własność nadany grunt, tak zwaną „dwudniówkę“, był dłuższy czas przez Habermana pod grozą bezprawnego posiadania wyzyskiwany. Mandataryusz groził mu szczególniej oddaniem w rekruty, czego on, nieodrodny syn swego narodu, śmiertelnie się obawiał. Ja dopiero otworzyłem oczy Mortkowi, z czego pan Habermann wielce był na mnie rozżalony. Urwały się bowiem wszelkie „durniczki“. Mortko, jak niegdyś jego praojcowie, wybawiony z niewoli wprawdzie nie egipskiej, lecz mandataryuszowskiej, począł być nieco odważniejszy wobec pana mandataryusza.

Najsrożej zaś zemścił się na nim na polowaniu, które ja urządziłem, zapraszając na nie oprócz kilku sąsiadów i Habermana. Oprócz gończaków pana Żukotyńskiego z Tworylnego, które podłożono w przepaścistym Otrycie, pan Haberman urządził rodzaj obławy na wilki, spędziwszy wszystkich chłopów z Krywego. Że Mortko bywał niegdyś psiarczykiem, zatem w chęci dokuczenia mu za nieposłuszeństwo wobec władzy mandataryalnej, Haberman zmusił go do osobistego jawienia się na owych łowach. Miał funkcyonować jako „huczek“.

Gończaki, natrafiwszy na stadko sarn, pomotawszy niem po kniei, poszły były gdzieś daleko. Poczęli tedy chłopi buszować po zarośniętych krzakami „ściankach“ Sanu i potoków. Mortko, wiedząc gdzie stanowisko Habermana, z wielkiej obawy o życie pana „mandatara“ podszedł ku niemu, radząc, że ponieważ w tym miocie na pewno są wilki i dziki, a nawet i niedźwiedź przytrafić się może, przeto radzi mu ostrożność. To wystarczyło dla pana Habermana, który nie słynął wcale z odwagi, aby mimo swej niezgrabności, szanowną swoją osobę na buka z wielką mozołą wysadził. Ujęty troskliwością żyda o swą osobę, dla większego jeszcze bezpieczeństwa, nakazał temuż trzymać straż w pobliżu. Naraz ozwały się w dali głosy chłopów: dyk! dyk! Kilka strzałów padło — aż tu niespodziewanie z pobliskiego potoka wypada ryś. W przeciwnej stronie słychać głosy ludzkie i palbę myśliwych, ryś więc niewiele myślący, dopada drzewa i drapie się na takowe. Strach oślepia nietylko ludzi, lecz i zwierzęta, tak, że niedostrzegając człowieka wprost na niego idą. Ziściło się to i na rysiu, który w strachu wdrapał się właśnie na to drzewo, na którem siedział szanowny pan mandataryusz.

Ujrzawszy to Mortko, i zmiarkowawszy (jak mi później mówił) że: „mandatar jest h a ł b t o j d“, umyślił zemstę za wszelkie doznane sekatury. Zdejmuje więc swój „chałat“, zawiesza takowy na prost drzewa na którem siedzieli mandataryusz i ryś, i wyniósł się cichaczem. Tego „straszaka“ używają górale do przykucia w miejscu rysia. Choćby dwie doby, z miejsca się nie ruszy, ujrzawszy kapelusz, „gubanię“ lub torbę w pobliżu drzewa. Chłop ma czas pójść do domu, przynieść strzelbę i ubić rysia.

Późnym już wieczorem, po dość udałem polowaniu — padło bowiem dwie sarny, jedna samura i dwa warchlaki — wróciliśmy do domu nawołując poprzód daremnie i szukając Habermana. Nie mogliśmy pojąć, co się z mandataryuszem stało. Mówiliśmy właśnie o jego dziwnem zniknięciu, siedząc przy obiedzie, a raczej wieczerzy — gdy wtem, patrzę, kiwa Mortko na mnie przez na pół otwarte drzwi kredensu. Wyszedłem, a on pyta z uśmiechem:

— Czy jest mandatar?

— Nie ma!

— Nu, to wun siedzi na drzewie i zębami ze strachu dzwoni.

Po krótkich wyjaśnieniach dowiedziałem się wszystkiego. Myśliwi do domów się rozjechali. Późno w noc z Mortkiem i kilku ludźmi udałem się do kniei, gdzie pozostał Haberman. Trzech nas uzbrojonych w strzelby obstąpiliśmy drzewo. Wołam cicho:

— Panie Haberman! — i powtórzyłem kilkakrotnie wołanie. Odezwał się wreszcie mandataryusz zbolałym, cichym głosem.

— Złaź pan — mówię.

— A jak, kiedy ryś podemną.

— Ha, to nie ma innej rady, tylko drap się pan na sam szczyt buka. My tymczasem ubijemy rysia lub wypłoszymy.

Ciemno było, choć oko wykol. Rysia, który przypadł do pnia niewidać, tylko niekiedy zapłoną jego ślepie.

Wystrzeliłem. Ryś spadł na ziemię, lecz po małej chwili zerwał się z miejsca i znikł w gąszczach. Prawdopodobnie chybiłem go lub tylko postrzeliłem.

— Złaź pan teraz — wołam do Habermana.

— A kto wie, może ryś jest jeszcze? — odpowiada drżącym głosem mandataryusz. — Ja się boję.

Widząc, że trudno będzie inaczej z wystraszonym poradzić, poleciłem chłopu, ażeby wlazł na drzewo i sprowadził mizeraka. Sprowadzono go też ledwie żywego i osłabionego tak, żeśmy go do domu prawie zanieść musieli. Po drodze, tłumacząc się ze swej ucieczki, mówił Mortko:

— Pan sędzia taki odważny i wielki purec bał się, cóż ja biedny żydek? Musiałem uciekać.

Haberman nie bardzo temu ufał, lecz dał Mortkowi spokój, ale wyprawę tę odchorował i nigdy później na polowanie zwabić się już nie dał.

Otóż takim to był pan Haberman. A teraz wracajmy do dalszych poszukiwań za Mortkiem.

Ze zjawieniem się mandataryusza, nadszedł wójt, przysiężny i kilku z gromady. Okazało się, że Mortko poszedł na targ z dwoma parami wołów, które miał na wypasie u jednego z kmieci krywiańskich. Żydzi i do tej jeszcze pory w handlu bydłem tym trybem postępują. Za pewną cenę nabywszy parę cielaków, dają takowe na wypas do kmiecia, po trzech zaś lub czterech latach, wspólnie z chłopem, który je wyhodował i do pracy używał, idą na targ czy jarmark i sprzedają woły. Żyd właściciel odbiera daną za nie kwotę, a nadwyżką dzieli się z chłopem jako zyskiem. Z takimi to czterma wołami poszedł teraz na targ Mortko.

— A który chłop miał spółkę z Mortkiem? — zapytał mandataryusz i oczy mu się zaświeciły. — Dawaj go tu natychmiast. Kto wie — dodał mówiąc do mnie z kiepska po niemiecku — może chłop zrabował żyda i zamordował?

Dostawiono domniemywanego winowajcę. Był to spokojny i porządny gospodarz. Lecz nie pomogła dobra reputacya. Spisano z nim „Protokoll“.

Ja nie czekałem już końca tych badań, lecz zabrawszy, jak się rzekło, Józefa szewca i Procia Bagę do pomocy, ruszyliśmy najprzód drogą przez wieś Hulskie, aż do Zatwarnicy, gdzie w razie wezbrania wody na Sanie było zawsze gotowe czółno do przewożenia wracających z jarmarku ludzi. W każdej karczmie dopytywałem się, żali nie widziano znanego w okolicy Mortka. W Zatwarnicy żyd z karczmy, tuż przy Sanie będącej, doniósł mi, iż Mortko w piątek popołudniu wstąpiwszy tam na chwilę oświadczył, że ponieważ się spóźnił, przeto pojedzie do domu krótszemi drogami, podnóżem Otrytu, czem ominie jeszcze przeprawę przez głęboki w Zatwarnicy bród, a w Krywem jest czółno i tam go na drugą stronę przewiozą.

Ruszyliśmy tedy na owe krótsze drogi. Przewodnictwo objął Proć, on albowiem znał je dokładnie. Mnóstwo wiodło drożynek przez gąszcze i urwiska, których skalistym spodem wartkie potoki toczyły swe wody do pobliskiego Sanu. Kto wie — sądziliśmy — może Mortko zabłądził na Otrycie, i Bóg wie do której wsi zajechał, lub może skręcił kark przebywając debrę? Przeszukiwanie ciemnych jarów sporo zabrało nam czasu i dobrze było już z południa, gdyśmy stanęli na hulszczańskim Otrycie.

Dołem po za Sanem ciągnęła się wieś Hulskie. Dwór stał w pobliżu rzeki, po za którą ku szczytom Otrytu wiodło krocie ścieżek przez bydło wydeptanych. Wszystkie wiły się przez uroczysko, z rzadka porośnięte jałowcami. Dzikie, puste i smutne było to miejsce. Niedarmo zwano je wilczemi drogami, ponieważ w późną jesień, gdy nawet bydło przestano wypędzać na pastwisko, a miejsce to opustoszało całkowicie, jedynymi wędrowcami po tych pustych szlakach

były wilki, tędy ku mieszkaniom ludzkim na rozbój dążące. Niekiedy, ale w bardzo rzadkich wypadkach, chadzali tędy, dla skrócenia sobie drogi, chłopi, do miasteczka Lutowisk.

— Pak tudy musiw żyd ity z Lutowyszcz — przemówił Proć, dodając co chwila w czasie swego dyskursu owe ogólne w tych stronach przysłowie „pak“.

Postępujemy tedy naprzód, skrzętnie przeszukując zarośla, osobliwie debry skaliste, mniemając, że w nie może wpadł Mortko, skoro tędy o zmroku powracał. Naraz słyszymy nawoływanie jakieś, głuche, jakoby z wnętrza ziemi pochodzące. Może to Mortko woła — lecz gdzie się znajduje, skoro przed nami nie ma debry ani jaru? Proć nic nie mówiąc pomknął naprzód, i po chwili począł nas głośno nawoływać:

— Ot pak tu — wołał — żyd je. To dawna wowcza jama.

Zbliżamy się; w istocie, o ile dało się przejrzeć ciemności głębokiego dołu, na samym spodzie dostrzegliśmy ludzką postać.

— To ty Mortku? — wołam.

— Aj ja — odpowiedział słabym głosem.

Wyciągnąć go potrzeba — ale jak i czem? Jama dość głęboka, o gładkich prostopadłych ścianach. Mówię tedy do Procia:

— Co tchu ruszaj do Hulskich i przynieś sznurów lub drabinę i wracaj.

Tymczasem będąc pewnym, że Mortko zgłodniałym być musi, wrzuciłem mu kawał chleba i manierkę z wódką do pokrzepienia. Jamę tę i kilka innych na owych rozstajnych drogach wykopać kazał właściciel wsi Hulskie, Leopold Leszczyński, który był słynnym myśliwym a zawziętym tępicielem wilków i często udawało mu się złapać wilka w jamę na podstawioną przynętę.

Nadszedł wreszcie Proć z kilkunastoma ludźmi, niosącymi sznury i długą cerkiewną drabinę. Wstawiamy drabinę w jamę.

— Leź Mortku jeśli możesz.

Nie mógł, tak był głodem i chłodem osłabiony. Delegowałem tedy zwinnego Procia, ażeby spuścił się w jamę i pomógł żydowi wydźwignąć się na górę.

— Ho! ho! pak pańciu — zawołał Proć z jamy — tutki szczoś je — i słucham, wali siekierą i motłoszy się z czemś na dnie jamy.

Po dobrej chwili wynurzył się wreszcie z jamy Mortko, podsadzany od spodu przez Procia. Jakże był zbiedzony, a w dodatku powalany gliną i skaleczony w głowę, skutkiem rozbicia jej o słup, w środku jamy dla utwierdzenia przynęty umieszczony. Tuż po żydzie wylazł na górę i Proć, wyciągając za sobą niedużego — wilka.

Mortko zemdlał natychmiast i nie mogliśmy się dopytać, zkąd razem z nim wziął się wilk w jamie. Proć zaś powtórnie zapuścił się w głębię samołówki i wyniósł kapelusz Mortka i dwie kobiałki, w których mieściły się dla dworu i żyda zakupione rzeczy. Był w nich także proch dla mnie i duże paczki „Drei Königu“.

Mortko, mimo że przyszedł wnet do przytomności, tak był osłabiony, że w żaden sposób byłby iść pieszo nie zdołał. Ulokowaliśmy go przeto na najętej w Hulskiem furze i ruszyliśmy z powrotem do Krywego, gdzieśmy dopiero późnym wieczorem stanęli.

Drugiego dnia Mortko opowiedział swoją przygodę jak następuje:

— Nu, sprzedał ja dwie pary byki, które były u gazdy Kosmycza, i zanocował w Lutowyszczach. A jakem w Piątek zaczął biegać za pańskie i moje własne interesa, było już z południa. Ruszam tedy z powrotem — poganiam — cóż kiedy ta Melnyczka (bodaj ją szlak trafił!) leniwa jak pień. Im ja jej lepiej patykiem pod ogon, tem ona wolniej idzie. A tu już słońce bliskie zachodu i szabas za pasem. Dojeżdżam do Zatwarnicy — woda na Sanie szumi jak na kole młyńskiem, a mętna jak żur. Nu, co robić? Nieprzejechać ani czółnem, ani wpław. Nie ma rady, trzeba jechać krótszemi drogami pod Otryt. Tak i droga krótsza i San się omija, bo go łatwiej przebyć pod dworem w Krywem, gdzie bród jest płytszy. Nu jadę ja, a biję Melnyczkę patykiem, aż tu na hulszczańskim Otrycie zrobiło się już ciemno. Nam żydkom, gdy w piątek słońce zajdzie, jechać już nie wolno. Nu, zlazłem tedy z kobyły, idę pieszo, a Melnyczkę (tfu, bodaj zdechła!) za sobą ciągnę. Nu, pan wie, co ja znam wszystkie debry jak własną kieszeń, to i przeszedłem szczęśliwie, ale było ciemno jak w grubie piekarskiej, nu to ja w końcu zbłądził. Zacząłem szukać drogi, i naraz wpadam w jakiś dół. Melniczkę (nu! bodaj wona skapała jak te szwice!) puściłem z ręki, i sam nie wiedziałem co się ze mną stało. Zdawało mi się com już tojd, ganz tojd. Gdym się ocknął, ciemno było w około mnie. Patrzę w górę — także ciemno. Naraz (żebym tak zdrów buł co mówię prawdę) ujrzałem światła jakieś. Myślę, że to ludzie mnie szukają ze świczkami i chciałem zawołać, a tu nagle spada na mnie coś ciężkiego. Aj waj! — to był wowk! Tak wón zaczął ze sobą się rzucać jak wściekły i świcić oczami, aż strach! Już po tobie Mortku, pomyślałem i począłem krzyczeć, potem zacząłem szczekać huf! huf! jak pies, żeby go przestraszyć. Nu, ja to potrafię; od czego byłem psiarczykiem? Wilk tłukł się po jamie i wył, a w górze inne wilki mu odpowiadały. Nu, straszna była dla mnie ta noc... Gdy zaświtało, i w jamie się trochę rozwidniło, ujrzałem, że wilk leżał przyczajony w kącie. Niewielki był, ale straszny — z takim kudłem, co mu na karku stał jak szczotka. Myślę ja sobie, żeby mnie nie zjadł, dam mu dwie kury, które woziłem do Lutowyszcz, ale nie sprzedałem. Chciałem wyleźć z jamy — nie sposób — była głęboka i prosta jak mur. Wołałem o pomoc — daremnie. Płakałem — co tam żona moja i dzieci porabiają — bom już widział swój koniec. W kobiałkach wiozłem niektóre rzeczy dla jasnej pani i dworu: bułki, cukier; nu, tego ja trochę zjadł i odprawiłem taki dziwny szabas w wilczej jamie, a pana Boga prosiłem, coby mi dał wyleźć. I wilk się uspokoił; nie skakał do góry i nie wył. Porzucone mu kury zjadł, ale dopiero drugiej nocy. Tak minęła sobota, aż ot w niedzielę zaniemogłem, osłabłem i z głodu i ze zimna, nu i ze strachu. Szkoda, co Proć zabił mego towarzysza wilka; wun był dla mnie dobry, mógł mnie przecie zjeść, a nie zjadł. Niech by sobie był poszedł w świat.

Mortko dość ciężko odchorował swoją przygodę.

Odnalezienie żyda nie w smak było Habermanowi; obiecywał sobie bowiem wyciągnąć wiele korzyści z chłopa, posądzonego o zabicie Mortka. Już nawet posłał był olbrzymi „Berycht“ do cyrkułu, opisujący to zdarzenie i protokół z wysztychowanemi nagłówkami — i na nic się nie przydały. Posądzonego i już w areszcie osadzonego chłopa musiał na wolność wypuścić. Mortka zaś prześladowali odtąd przezwiskiem „wowk“ lub nawoływaniem huf! huf!

Polowanie z jamnikami na borsuki i lisy.

Nie wiem dlaczego rodzaj tych łowów tak mało jest rozpowszechniony, ba, nawet raczej jest upośledzony — bo rzadko bardzo generalicya zastępów św. Huberta raczy w nich brać udział. Piękna byłaby sława, ażeby pan taki, wedle dzisiejszej mody jeździł na... borsuki. Łowy tego rodzaju pozostawia się minierom i saperom w postaci pobereżników i leśniczych, a generalicya ledwie raczy czasem posłyszeć o nich.

A przecież tego rodzaju łowy bardzo są zajmujące — (daleko więcej niż walki kogutów), bo mniejszą jest sztuką położyć z dobrej palnej broni zwierza pędzonego z zasadzki, jak świadczy o tem kronika w „Łowcu“ Nr. 7. z dnia 1. lipca b. r.: dwa niedźwiedzie na jeden strzał w samo serce „auf der Wald-Herrschaft Skole“, niż go we własnem legowisku chwycić.

Polując na lisa lub borsuka w jamie, wprowadza się do walki spryt psa, ze sprytem lisa lub borsuka, a borsuk w jamie równie jest sprytny jak lis. Polowania z chartami, tak wielu liczące amatorów, mają na celu tylko szaraki — a tam tak mało dopatrzeć można sprytu, tak u chartów, jak i u szaraków. Więcej zajmującymi są już charty uganiające się za lisem, chociaż myśliwy i tu bardzo nieznaczny bierze udział. Więc dlaczegoż łowy z jamnikami tak mało znajdują wielbicieli? pomimo, że tutaj spryt jamnika w połączeniu z myśliwym walczy z najsprytniejszym zwierzem? Chyba dlatego, że wymagają tak mało zachodu i przyborów, lub dlatego, że najpociezniejszych epizodów bywają areną.

Od dwudziestu kilku lat zaprzysiągłem zagładę lisom i borsukom, bo nie wierzę w ascetyzm tych ostatnich, a dowodnie jestem przekonany o drapieżności pierwszych; truję więc lisy na śniegu zimą, i przeszukuję wszystkie jamy jesienią i największe uczuwam zadowolnienie, gdy przydybię borsuka lub lisa w jamie.

Nie śmiałbym pisać o tak zapomnianych i upośledzonych łowach, ale wyczytałem opis polowania z jamnikami w „Łowcu“ Nr. 2. z dnia 1. lutego b. r. str. 28. tak epizodyczny i niedokładny, a miejscami i do prawdy niepodobny, że postanowiłem dokładnie opisać takie polowanie, a może uda mi się pomnożyć liczbę zwolenników tego sportu, miłośnikom zaś ogarów i gończych, zastąpić choć w części tak miłe dla nich polowanie w kniei, dzisiaj zupełnie nie na miejscu.

Wybieram się na łowy tego rodzaju z jamnikami zawsze bez wyżła, bo ten zawsze zaszkodzi, a nigdy nie pomoże, za to wolę wziąć jednego robotnika więcej z rydlem i dżaganem, gdyż kopanie przeszło sążeń głęboko w opoce, to jest w pokładzie kredowym, jest bardzo uciążliwe i jeden robotnik nie wystarcza, potrzebuję więc dwóch, którzy na przemian pracują; nie zapominam też nigdy zabrać ze sobą strzelby.

Przyszedłszy do jam, upatruję troskliwie i ostrożnie, czy na świeżo wyrzuconym piasku znać świeże tropy, i gdy takowych nie widzę, nie spuszczam nigdy jamników ze sfory. Ani borsuk, ani lis nie odwiedza jamy, w której czuje świeżą bytność psa; nie chcę sobie przeto odstręczać gości przez dłuższy czas. Gdy dopatrzyłem nad jamą świeżych tropów, spuszczam jednego psa po cichu nie robiąc hałasu, drugiego zaś każę odprowadzić opodal, aby niepotrzebnem skomleniem nie przerywał potrzebnej ciszy i nie odrywał uwagi drugiego psa pracującego w jamie; sam zaś biorę strzelbę, odwodzę kurki, staję z boku pod drzewem i nadsłuchuję, oglądając się do koła, czy nie wyskoczy lisiura. Nigdy bowiem nie można oznaczyć z góry, czy pies napotka lisa czy borsuka, choć nasyp borsuka (nasyp jestto ziemia miałka wygarnięta z jamy) różni się od nasypu lisa. I tak: borsuka nasyp jest zawsze podłużny, a środkiem w najdłuższej osi ma dość wydatny rowek; lisa zaś nasyp jest więcej okrągłym, przypłaszczonym pagórkiem. Kilkakrotnie jednakże zdarzyło mi się przydybać w jednej jamie i lisa i borsuka razem; bo mylnem jest zdanie, jakoby lis wypędzał borsuka z jamy i takową na swój wyłączny użytek zabierał — owszem, zgadzają się bardzo dobrze obaj, bo lis zużytkowuje tylko wchody, tj. korytarze wchodowe, a dalej buduje sobie sam wyłączne pomieszkanie i nie wdziera się w posiadłości borsuka, które jako zbyt obszerne nieprzedstawiają mu zupełnego bezpieczeństwa. Tylko w czasie połogów ani pani „Mykicina“, ani pani „Jaźwiecka“ nie znoszą się wzajemnie w sąsiedztwie. Z tego to powodu pan Mykita spodziewając się pomnożenia familii, zajmuje na sezon wiosenny pomieszkanie wśród niw, bawi w lecie pośród lasów, gdzie dużo zwierzyny, zawsze jednak porzuca pomieszkanie, które w największej zgodzie przez zimę z borsukiem zajmował.

Gdy pies natrafi przeciwnika, czy to wietrząc, czy na oko, zaraz naszczekuje, dając znać myśliwemu by się miał na baczności; jeszcze więc pilniej patrzę na wszystkie strony, czy nie wyskoczy lis. Stanowczo oznaczyć, czy pies atakuje lisa czy borsuka, na pewno nie można w pierwszych chwilach. Miewałem bardzo dobre psy, posiadam też w tych łowach praktykę dostateczną, a nigdy ze szczekania psa rozpoznać nie mogłem, czy lisa czy borsuka pod ziemią goni.

Zwykle lis po 5—10 minutach wyskakuje z jamy szybko, jakby go kto z procy wyrzucił, nie robiąc najmniejszego szmeru i trzeba bardzo się pilnować, aby go na strzał średni dostać.

Gdy jamnik jest rasy roślejszej, zawsze lisa wypędzi, bo nie może w pomieszkaniu jego wszędzie łatwo się przecisnąć i zdążyć za zmykającym lisem, lis zaś niechętnie stawia czoło i woli pomykać, pozostawiając pomieszkanie psu do dyspozycyi. Gdy jamnik jest mniejszy, ostro na lisa naciera, a lis chcąc nie chcąc, musi stawić czoło i już nie wyskoczy, aż się go wykopie. Nie wyskoczy także lis, gdy się psu uda zapędzić go lub zastać w krajówce t. j. w krużganku, który nie ma żadnego innego połączenia z całym labiryntem chodników. Gdy się już zetrą, wtedy lis, widząc, że nie ma dla niego innego ratunku, staje frontem do psa, przysiadłszy na tylnych łapach, a podparty przedniemi broni się ostremi zębami i pomrukuje od czasu do czasu, trzyma się jednak zawsze w defensywie.

Inaczej ma się rzecz z borsukiem. Borsuk nigdy przed psem nie wyskoczy, chyba w bardzo młodocianym wieku, gdy mamy nie ma w domu; stary zawsze zajadle broni swego domostwa i gotów z napastnikiem stoczyć najzacieklejszą walkę. Do ataku staje borsuk (czy to przydybany w środku kurytarza, czy też w krajówce) w następującej pozycyi: siada na kuprze mordą do psa zwrócony, tylne łapy nieco z pod siebie wychyla, przedniemi zaś łapami i mordą, uzbrojoną ostremi i silnemi zębami, zakrywa cały otwór (przekrój poprzeczny) jamy a tem samem i cały swój korpus, przyczem od czasu do czasu wyrzuca tylnemi stopami piasek z pod siebie, tworząc tym sposobem w norze wał, którym, choć powoli, stara się odgraniczyć od psa i zabezpieczyć od ataków tegoż. Całem zadaniem jamnika jest teraz: ustawicznie naszczekiwać (aby okazać myśliwemu, gdzie się ma kopać skrzynia), i licznymi udanymi atakami zająć uwagę borsuka tak, aby go utrzymać w tej przybranej obronnej pozycyi, iżby nie miał czasu ani w tył, ani wprzód się posunąć, jakoteż znosić ustawicznie wał, który borsuk tworzy. Ten wał burzyć powinien dowodny jamnik nie zaniedbując ataków, garnie więc piasek z tego wału przedniemi i tylnemi nogami po za siebie. Ale nie dość na tem — w ten sposób zakopałby się w norze — więc cóż robi zmyślny jamnik? Oto udaje, że się cofa, aby nabrać impetu do nowego ataku i podczas tego cofania się wygartuje piasek do najbliższego kociołka, lub gdy tego nie ma po drodze, aż na wierzch, musi jednakże bardzo szybko to robić, gdyż borsuk, widząc się niezajętym, zmienia front, odgranicza się zupełnie od psa zatykając otwór nory ziemią i posuwa się na inne miejsce, gdzie się ze wszech stron zakopuje.

Dobry jamnik nigdy borsuka na zęby nie zaatakuje, raz, że z tej walki nigdy zwycięzko nie wyjdzie, powtóre, że przy takiem starciu na ostre borsuk zawsze pozycyę zmieni i czy to naprzód czy w tył się posunie.

Gdy pies już dobrze atakuje, zadaniem myśliwego jest przez nadsłuchiwanie (przyłożywszy ucho do ziemi) oznaczyć punkt pionowo w ziemi, gdzie starcie ma miejsce. Teraz dopiero i to z niejakiem tylko prawdopodobieństwem oznaczyć potrafi, czy pies atakuje lisa czy borsuka. Lis przy atakowaniu psa wydaje mruczenie, podobne do mruczenia kota, borsuk zaś wydaje głos podobny do dudnienia. Oprócz tego lis drapie po ścianach jamy ostremi pazurami, borsuk zaś, oprócz dudnienia pyskiem, nie robi żadnego szmeru. Łatwo rozróżnić to mruczenie lisa czy dudnienie borsuka, gdy nory idą płytko pod ziemią, w piasku, trudniej już gdy warstwą wierzchnią jest glina, ale najtrudniej, gdy nory idą głęboko, a jeszcze do tego pod pokładem kredowym. U mnie jamy idą przeszło sążeń głęboko, najpierw glina nadzwyczaj zwięzła do pół sążnia głębokości, a dalej kreda do 2 łokci głębokości, po niej dopiero pokład piasku. A trzeba wiedzieć, że czy to borsuk, czy też lis, budując sobie pomieszkanie, tak głęboko kopie, dopóki nie dokopie się pokładu piaskowego i w tym dopiero minuje z łatwością i tworzy wielką ilość ciągle krzyżujących się krużganków, wśród których są małe kotliny do półtora łokcia średnicy, gdzie schodzą się zwykle 3 a czasem i 4 krużganki.

Myśliwy, oznaczywszy jaki kierunek mają krużganki, a pozna to przy niejakiej wprawie, kierując się głosem psa, oznacza miejsce do kopania skrzyni. Skrzynia jestto dół czworoboczny, przynajmniej łokieć szeroki, a 3 łokcie długi. Im głębiej trzeba będzie kopać, tem obszerniejsza powinna być skrzynia, a więc w opoce lub w głębokim pokładzie gliny skrzynia musi być obszerniejsza niż w piasku, aby robotnik z łatwością czy to rydlem, czy dżaganem mógł operować. Z rozpoczęciem skrzyni nie powinno się bardzo spieszyć, gdyż zdarza się często, iż zwierz zaatakowany nie czuje się w tem miejscu zbyt bezpiecznym więc się cofa w inny kąt, który mu się obronniejszym wydaje, a ponieważ skrzynia powinna trafić zawsze w poprzek nory, między psem i zwierzem, więc przy zmianie pozycyi zwierza musiałaby nastąpić i zmiana miejsca dla skrzyni.

Dopiero gdy zwierz ustalił pozycyę obronną, t. j. w jednem miejscu stale się odcina, wtedy szybko powinno się kopać skrzynię, nie robiąc zbytecznego stukania, lecz kopiąc spokojnie i statecznie, przyczem baczyć należy, aby robotnik, osobliwie gdy się zbliża już do nory, wyrzucał wszystką miałką ziemię ze skrzyni, czego gdy się zaniedba, zasypuje się przebity otwór do nory między psem a zwierzem, z czego zwierz zawsze skorzystać nie omieszka. Dokopawszy się do nory, otwór powinien być zawsze czysty, aby pies mógł ustawicznie zwierza atakować nie tracąc go z oczu. Im bliżej dokopuje się do nory, tem pies zajadlej i częściej atakuje zwierza, a po przebiciu otworu nabiera już takiej śmiałości i zaciekłości, że od czasu do czasu gdzieś przeciwnika dobrze skubnie, ale i zwierz w rozpaczy tnie zajadle, i tu już po obu stronach krew płynie. Tak lis jak i borsuk mają swoją piętę Achillesa, gdzie jeśli się uda jamnikowi, nawet słabemu, pochwycić przeciwnika, to go dobrą chwilę nieruchomego przytrzyma. Tą piętą Achillesa jest miejsce poniżej ucha, tak u lisa, jak i borsuka. U lisa nawet zdarza się, że pies pochwyciwszy go za tę słabiznę, przydusza mu łeb do ziemi przednią łapą, potem chwyta go zębami za gardło i dusi. Ale żaden jamnik nie potrafi przeprowadzić tej operacyi na borsuku. Uda mu się wprawdzie przytrzymać borsuka przez chwilę, ale wnet go puszcza, bo czuje, że borsukowi nie sprosta. Tu musi myśliwy sam przystąpić z pomocą. Staje więc nad przebitym otworem w skrzyni w ręku z widłami (najlepiej z żelaznemi, bo drewniane często się rozkłuwają) i w chwili, gdy borsuk, na odparcie zajadłych napadów psa, ukaże swą przednią część korpusu w tym otworze, przyciska go widłami do ziemi całą siłą, a pomocnik uderzeniem siekiery lub dżagana w łeb zwierza, kończy te zapasy. Raz ten przez pomocnika wymierzony być powinien uważnie, nie pospiesznie. Zdarzyło mi się raz, że cios ten zabójczy dostał się od rozgorączkowanego namiętnością pomocnika nie borsukowi, lecz psu memu najulubieńszemu, bo na przyciśniętym widłami zwierzu siedzi pies szarpiąc go nielitościwie, jakby się mścił za odebrane cięcia. Łatwo więc nieostrożny pomocnik może ranić, a nawet zabić psa. Przeto nie pozwalam od tego wypadku używać pomocnikowi ani siekiery ani dżagana tak długo, dopóki zwierza z jamy nie wydobędę na powierzchnię ziemi. Mam ku temu celowi umyślnie skonstruowane obcęgi, któremi po przyciśnięciu widłami pomocnik chwyta zwierza za górną szczękę i zupełnie szkodzić niemogącego na wierzch wyciąga i tu egzekucyę wyroku śmierci wykonuje. Wyciąganie zwierza, jeśli chodzi o lisa, nie nastręcza żadnych wysileń; wyciągając jednak borsuka, trzeba dobrze się zaprzeć, nim się go z nory wyciągnie, bo zwierz wiedząc co go czeka, bardzo silnie nogami się zapiera. Raz takiego borsuka przy pomocy obcęgów, które zdawałoby się, że powinny go do powolności skłonić, ledwie dwóch chłopów wyciągnęło. Jakby mi się tutaj te widełki przydały, o których w „Łowcu" Nr. 2. z dnia 1. lutego b. r. mowa, a któremi w Biłohorszczy pod Lwowem borsuki z nory wyrzucają!

Egzekucyę wyroku śmierci należy z całą dosadnością przeprowadzić, aby borsuk lub lis nie przyczaił się, a potem cichaczem nie ożył. Ostrożność ta co do wykonania egzekucyi nie jest przesadną i razów nigdy nie będzie za wiele, a na dowód opowiem dwa wypadki, które mi się przytrafiły.

Raz wykopałem bardzo silnego i starego borsuka, a że pokiereszował mi psa bardzo, więc podczas wykonywania egzekucyi, nie szczędzono mu razów w łeb obuchem. Tak ubitego, z potrzaskaną czaszką, że aż kości żegotały, odniesiono na bok, i złożono na sągu łupanego drzewa, a że był w jamie drugi borsuk, kopałem najspokojniej drugiego nie oglądając się za pierwszym. Po wykopaniu drugiego, kazałem przynieść pierwszego, owego z potrzaskaną czaszką, do wózka, lecz jakież było moje rozczarowanie, gdy mi powiedziano, że borsuk powędrował do sąsiedniego lasu. Nie wierzyłem i poszedłem sam się przekonać; borsuka na sągu nie znalazłem, ale znalazłem strugę posoki, która się ciągnęła rzeczywiście aż do sąsiedniego lasu.

Wypadek drugi był jeszcze pocieszniejszy. Wykopanego i kompletnie zmasakrowanego borsuka kazałem rzucić w tył wózka i jechałem z powrotem do domu. Psy biegły za wózkiem, zostając nieco w tyle. W pół drogi, a było to tuż przed samym wieczorem, słyszę, że psy coś na dobre atakują. Nawracam i widzę borsuka w czystem polu. Podjechawszy bliżej, spostrzegłem, że borsuk na łbie ubroczony; zaglądam w kielnię wózka, a mego borsuka nie ma. Domyśliłem się co to znaczy. Borsuka tego furman dobił ledwie, udzieliwszy mu kilka razów w łeb grubszym końcem biczyska.

Mając te wypadki w pamięci, radbym widzieć tego wyżła niemieckiego, co to paszczą jego borsuk kilka razy rzucony o ziemię żywot zakończył!

Ubitego zwierza odnieść polecam na bok w bezpieczne miejsce, psa biorę na sforę, a spuszczam drugiego, który dotychczas był przywiązany w rezerwie i puszczam go do jamy, aby się przekonać, czy nie ma w niej drugiego lokatora, co bardzo często się przytrafia. Jeśli jest drugi zwierz w jamie, to ze świeżym psem wykopię go tak jak pierwszego; jeśliby się pokazało, że po wykopaniu drugiego, znajdzie się trzeci, to pokona go pies wypoczęty. Dwa psy naraz puszczać nigdy nikomu nie radzę, gdyż jeden drugiemu pomagać nigdy nie jest w stanie, bo dwa psy obok siebie (w poręcz) w jamie się nie zmieszczą i naraz od czoła atakować nie mogą, lecz jeden musi stać za drugim, a tak ten, który atakuje na przedzie niepokoi się hałasem tego, który stoi w tyle. Lecz toby było jeszcze mniej znaczące, ale najczęściej się zdarza, że oba psy chcą atakować na oko, wtedy drugi zachodzi zwierza inną norą od tyłu, a skutek tego taki, że zwierz na miejscu się nie utrzyma, lecz czy to przez jednego, czy to przez drugiego psa się przebije.

Lepiej, a nawet koniecznem jest trzymać jednego psa na uwięzi w rezerwie, bo i tak się czasem zdarza, że pies pierwszy, atakując zwierza dłuższy czas zmęczy się tak, że musi wyjść na wierzch odsapnąć świeżem powietrzem. Wtedy natychmiast należy psa zmienić, puścić rezerwowego, a przytrzymać pierwszego, aby czerstwe i świeże siły zwierza ciągle atakowały. Gdy kopanie w twardym gruncie trwa za długo, należy psa zmienić, choćby sam stanowiska zaczepnego nie opuścił; w tym wypadku należy skorzystać z chwili, gdy pies podczas ataków na wierzch ziemię wygartuje, szybko za ogon go wyciągnąć i rezerwowym zastąpić.

Na zakończenie niech mi wolno będzie wyrazić ubolewanie, że ustawa łowiecka bierze borsuka przez 10 miesięcy w ochronę — a lisa prawie przez 7 miesięcy szanować każe. Drapieżności lisa nikt nigdy nie zaprzeczał, i powszechnie jako zwierzę szkodliwe i drapieżne jest uznany — więc dlaczegoż przez 7 miesięcy mordy mają mu uchodzić bezkarnie? Wygląda mi to tak, jak gdyby kodeks karny pozwalał złodziejom w dnie pewne kraść bezkarnie. Nie będę przeto rozwodził się nad potrzebą tępienia lisa przez rok cały. Ale borsuk! ten faryzeusz udający pustelnika, cieszy się jeszcze potężnym zastępem obrońców! Obrońcy ci utrzymują, że borsuk jest zwierzem niewinnym, nieszkodliwym, owszem pożytecznym! Przypisują mu, że żywiąc się przeważnie poczwarkami owadów, niezmierne usługi oddaje gospodarstwu rolnemu i lasowemu! Tak ten faryzeusz potrafił uwodzić ludzi, nie wnikających głębiej w tajniki jego życia, że poczytywano go za wegetaryanina. O bezzasadności tych twierdzeń przekonać się można rozkopawszy jego pomieszkanie. Znajdzie się tam kosteczki młodych kuropatw, zajączków i skorupy jaj różnego ptactwa, jak w jamie każdego innego drapieżnika. Dosadniej o tem przekonać się można chowając borsuka w domu. Ja chowałem borsuka wykopanego w lesie — przywiozłem go do domu, ulokowałem w gorzelni, w słodowni z murowaną posadzką, i raczyłem go kartoflami gotowanemi, a słodu także miał podostatkiem. Kartofli rzucanych nie przyjmował, słodu także nie ubywało; ale za to ochłapy z mięsa porywał i pożerał chciwie, gdy mu tylko takowe porzucono. Ubite wrony także widocznie mu smakowały, tylko do konsumowania wrony lub innego ptaka zabierał się oryginalnie — nie skubał go z pierza, ale pierze ze skórą obdzierał, resztę połykał z kościami, nie patrosząc. Jednego poranku przychodzę do gorzelni, a tam oznajmia mi słodownik, że borsuk z jakimś kotem się w nocy gryzł. Otwieram drzwi do słodowni, widzę tylko borsuka przyczajonego w kącie, więcej nic — kota nigdzie nie było — w tem słodownik podnosi coś z ziemi z drugiego kąta. Po bliższych oględzinach pokazało się, że to skóra z kota najumiejętniej ściągnięta. Więc gdzież ścierwo z kota? Znalazłem je zaraz w żołądku borsuka, którego zabić i otworzyć kazałem. Tak przepłacił kot swą ciekawość śmiercią. Musiał coś zasłyszeć także o wstrzemięźliwości tego ascety i rad chciał go poznać osobiście. Nie rzadko wprawdzie znajdzie się w lesie koło jam borsuczych ziemię porytą jakby przez młode prosięta. Któż ją tak porył? To borsuk szukający za poczwarkami owadów. Ale proszę się zastanowić, w jakiej porze roku szuka borsuk za temi poczwarkami? w miesiącu październiku i listopadzie, właśnie w tych miesiącach, kiedy ustawa tępić go pozwala. A więc przecież borsuk jest zwierzem pożytecznym — powie ktoś z jego obrońców. Byłby, byłby — odpowiem — gdyby przez 10 miesięcy nie był szkodliwym. Proszę się zastanowić, dlaczego w tych dwóch miesiącach jest pożytecznym i żywi się owadami? bo w tych dwóch miesiącach ani skrzydlata, ani czworonożna zwierzyna się nie lęgnie. — *Im Nothfall frisst der Hund Fliegen.*

J. H.

KORESPONDENCYE.

Kołomyja d. 23. sierpnia 1888.

(Zjazd leśników.)

Uspokoiła się już w tej chwili Kołomyja, lecz przez trzy dni, od 19. do 22. roiło się w niej od ogorzałych postaci, od tych dzieci brodatego Sylwana i uroczej Dyany, co to wśród głębokiej zieleni lasów umieją patrzeć w samo serce natury, podglądać jej tajemnice i podziwiać w potędze stworzenia potęgę Stworzyciela. Leśnik i myśliwy to dwaj bracia syamscy, niechże więc i w „Łowcu“ będzie *in perpetuam rei memoriam* zapisane, żeśmy tu w tej pokuckiej stolicy obradowali.

Kołomyja rada była bardzo drużynie Sylwana. Komitet miejscowy pod przewodnictwem znanego z energii Sygurda Wiśniewskiego, podejmował nas gościnnie już w niedzielę (dnia 19. b. m.) wieczorem w sali kasyna mieszczańskiego, która, przybrana gustownie w zieleń i trofea myśliwskie, służyła nam następnych dni do obrad. Nawet z wielu domów wywieszono flagi na powitanie leśników, a burmistrz kołomyjski witał nas przedewszystkiem jako tych, co na straży ojczystych borów naszych wytrwale stać powinni i niedozwolić, aby cudzoziemska siekiera robiła w nich przerażające spustoszenia.

Obradom towarzystwa — pod nieobecność prezesa, hr. Romana Potockiego — przewodniczył najstarszy może wiekiem, lecz duszą i zamiłowaniem zawsze najmłodszy z naszych leśników, wiceprezes Towarzystwa leśnego, Henryk Strzelecki. Około 100 uczestników wzięło udział w posiedzeniu.

Sprawozdanie z czynności Towarzystwa za rok ubiegły przekonało nas, że stoi ono na trwałych podstawach i rozwija się na pożytek kraju. 626 członków czynnych — to armia, która się już nie da żadnym przeciwnościom.

Do wydziału należeli pp.: Potocki hr. Roman jako prezes, jako I. wiceprezes Strzelecki Henryk, jako II. wiceprezes Glanz Józef, jako członkowie: Hirsch Piotr, Hołowkiewicz Emil, Ligman Jan, lustrator lasów, Lettner Gustaw, c. k. radca lasowy, Makarewicz Romuald, dyrektor towarzystwa wzaj. pom. oficyalistów prywatnych, dr. Małachowski Godzimir, Pławicki Feliks, Reichard de Reichardsperg Franciszek, dyrektor lasów, Schellenberg August, Schupp Roderyk, lustrator lasów miejskich, dr. Stanecki Tomasz, prof. uniw. i Tyniecki Władysław, profesor krajowej szkoły leśnictwa.

Na przedstawienie wydziału ustanowił minister rolnictwa dla Galicyi krajową komisyę leśną dla doświadczeń leśnych, a w skład jej wchodzą: obaj wiceprezesi, Henryk Strzelecki i Józef Glanz, dalej z członków wydziału: Gustaw Lettner, Emil Hołowkiewicz, Piotr Hirsch i Władysław Tyniecki. W reskrypcie swoim wyraził jednak pan minister życzenie, ażeby i większa własność ziemska, stosownie do znaczenia, jakie w sprawach leśnictwa zajmuje, miała w składzie krajowej komisyi doświadczalnej swoich zastępców. Czyniąc więc zadość temu życzeniu, zaproponował wydział Towarzystwa dodatkowo na członków komisyi doświadczalnej: Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, Adama ks. Sapiehę, Romana hr. Potockiego, Władysława ks. Czartoryskiego i Wilhelma hr. Siemieńskiego-Lewickiego.

Stósownie do programu komisyi został kraj podzielony na okręgi doświadczalne.

W uznaniu wytrwałej pracy leśnej wybranym został przez wydział specyalny komitet do postawienia w Brzuchowicach pomnika dla leśników, którzy niegdyś lotne piaski tamtejsze zalesili. Bodajby to było zachętą dla żyjących leśników do bacznego przestrzegania, ażeby przez rabunkowy wyrąb i zaniedbanie następnego zalesienia nie tworzyły się znowu krajowe Sachary jak np. w Łopatyńszczyźnie i Brodczyźnie, gdzie wspaniałe niegdyś puszcze sosnowe siekiera banków niemieckich tak już przerzedziła, że świecą dziś trudnemi do opanowania łysinami żółtych, lotnych piasków...

Na wezwanie Namiestnictwa przedstawił wydział sześciu specyalistów na członków państwowej komisyi egzaminacyjnej dla leśników, a mianowicie pp. Hołowkiewicza, Hirscha, Reichardsperga, Piotrowskiego, Ligmana i Nowickiego.

W roku ubiegłym zamianował wydział w całym kraju 135 delegatów, których obowiązkiem jest wspierać cele Towarzystwa przez pozyskiwanie nowych członków i przez nadsyłanie sprawozdań z dziedziny gospodarstwa leśnego. Stacyj fenologicznych miało Towarzystwo 55.

W miesiącach zimowych odbywały się we Lwowie, w lokalności dyrekcyi lasów i dóbr państwowych, poufne konferencye leśników. Między innemi omawiano na nich następujące sprawy: O bukowińskiej konkurencyi na targach drzewnych w Galicyi. O porostach nowych na dębach. O odmianach świerka. O ryzach wodnych. O skróconym sposobie trasowania dróg leśnych. O poszukiwaniu przylaszczka pospolitego. O zawartości w powietrzu leśnem bezwodnika węglowego. O wpływie lasów na wilgotność powietrza okolicy. O zalesianiu piasków w Galicyi. O pierwotku pospolitym. O wpływie czasu wysiewu nasienia sosnowego na wychowanie jednolatek sosnowych. O przyczynianiu się pająków do wyniszczania szkodliwych lasom owadów. O teoryi przerzedzania drzewostanów. O datach statystycznych z lasów państwowych w Galicyi.

Cyframi budżetowemi Towarzystwa nie będę was męczył — dość przytoczyć, że wydatki preliminowano na 2.840 pokrycie na 3.340 zł., to jest nie z niedoborem, jak to jest dziś rzeczą najpowszechniejszą, lecz z nadwyżką.

Na poniedziałkowem posiedzeniu wytworzyła się mimowoli piękna owacya dla Henryka Strzeleckiego, gdy pp. Gostyński i Gizowski wnieśli, aby w uznaniu 50-letnich zasług swego wiceprezesa na polu leśnictwa, doprowadziło Towarzystwo do skutku powziętą jeszcze w r. 1878 myśl utworzenia fundacyi stypendyjnej imienia Strzeleckiego. Z entuzyazmem uchwalono ten wniosek, a wzruszony wiceprezes, którego w debatach nad tą sprawą zastępował pan Gizowski, dziękował z głębi serca za wyrazy uznania. We środę zebrano już w czasie objadu sto kilkadziesiąt złotych w. a. na ten cel, a początek ten rokuje dobrze, że uchwała zgromadzenia rychło wykonaną zostanie.

Przy końcu posiedzenia przedpołudniowego odczytał pan Jan Ligman pięknie opracowaną rozprawę z dziedziny gospodarstwa lasowego w ogóle, a w szczególności: o szkodach przez zwierzynę w lesie wyrządzanych, o środkach przeciw chorobie sosny (strząska), o cenach drzew na pniu, oraz składach, użytku, popycie i konkurencyi węgla. W nie-

zwykle ożywionej dyskusyi skonstatowano między innemi, że szkody przez sarny są znaczniejsze w uprawach sztucznych niźli naturalnych.

Obrady przerwano o godzinie 1. Po południu zwidzono gremialnie szkołę garncarską, zostającą pod kierownictwem prof. Krycińskiego i podziwiano uznania godne wyroby przemysłu krajowego. O godzinie 5. zebrano się na dalsze obrady. Nastąpił odczyt c. k. zarządcy lasów, Leona Krokowskiego „O odnowieniu lasów dębowych i użytkowaniu dębiny“, nad którym wywiązała się żywa dyskusya. Głos zabierali panowie: Hirsch, Zeńczak, Tyniecki, Kowalski, Skowroński, Ligman i Beer.

Przewodniczący reasumując dyskusyę zaznaczył, że dębina musi być pod ochroną prowadzona, ażeby się udała.

We wtorek udaliśmy się do lasów rządowych w Kniaźdworze, Peczeniżynie i Słobodzie rungurskiej. Lasy kniaźdworskie leżą na podgórzu północno-wschodnich Karpat i zajmują obszar blisko 3500 ha. (7000 morgów). Gleba jest tu bardzo żyzna i należy do formacyi neogeńskiej, działy zaś w równinie doliny Prutu do formacyi aluwialnej i diluwialnej. Dla lepszego oryentowania się w badaniu lasów, dano nam „Przewodnika“, zawierającego opis statystyczny i typograficzny lasów kniaźdworskich, a opatrzonego wyborną mapą drzewostanu, w kolorach odbitą.

U wstępu do lasów kniaźdworskich powitał nas serdecznemi słowy gościnny gospodarz tychże, dyrektor dóbr państwowych, pan Glanz.

Z powodu wezbrania Prutu zboczyliśmy z pierwotnego kierunku wycieczki, i nie widzieliśmy niestety stuletnich drzewostanów dębiny. Udaliśmy się przeto przez piękne drzewostany jodły, przetkanej gdzieniegdzie świerkiem, a następnie grzbietami doszliśmy do miejsca, skąd piękny roztacza się widok na dolinę Prutu z Kołomyją i całą okolicą. Stąd zeszliśmy do działu, gdzie na więcej otwartych miejscach znajdują się cisy, niekiedy 2 do 3 m. wysokie.

Pod kierunkiem dyrektora Glanza zwiedziliśmy szczegółowo drzewostany i słuchali dawanych objaśnień. Do odmłodnienia drzewostanów używanym bywa tu zarówno sposób sztuczny jak i naturalny.

W Peczeniżynie wystąpił na nasze powitanie, pod piękną bramą tryumfalną z napisem „Przemysł przyrodzie“, bystry jak iskra a niezmordowany w swej gościnności poseł Stanisław Szczepanowski. Wspólnie z panem Załozieckim pokazywali nam oni przyrządy rozmaite, objaśniając destylowanie ropy naftowej.

Z Peczeniżyna osobnym, festonami przystrojonym pociągiem udaliśmy się do Słobody rungurskiej, gdzie powitał nas serdecznemi słowy dr. Fedorowicz, poczem tłómaczył sposoby wydobywania nafty. Tak tu jak i w Peczeniżynie podejmowano nas z prawdziwie staropolską serdecznością. W podejmowaniu brały udział i panie. Nie można się było wywinąć od posiłków i toastów, którymi urozmaicono wielce ciekawe demonstracye naukowe. Dopiero o godz. 8. wieczorem wróciliśmy do Kołomyi, wynosząc z tej wycieczki jak najprzyjemniejsze wspomnienie.

We środę odbyła się wycieczka do Dąbrowy kluczewskiej. Tu oglądaliśmy wzorowe zapusty dębowe, powstałe w naturalny sposób. Był to przedmiot dla uczestników bardzo zajmujący i pouczający ze względu toczącego się w nauce i praktyce sporu, czyli sztucznej uprawie lub też naturalnej należy się w dębowych lasach pierwszeństwo. Okazane nam młodniki dębowe pod wszelkim względem były zadowalniające. Młodniki te powstały po drzewostanach dębowych 80—100-letnich.

W lesie, na pięknej polanie, przyjął uczestników wycieczki śniadaniem dyrektor dóbr państwowych pan Glanz, w południe zaś nastąpił w sali kasynowej wspólny obiad, do którego zasiadło około 60 uczestników. Wiceprezes Strzelecki podziękował pierwszym toastem w imieniu Zjazdu miastu Kołomyi za serdeczne przyjęcie. Pan Uznański, właściciel dóbr ziemskich z Poronina, wzniósł toast na cześć nieobecnego prezesa Towarzystwa, Romana hr. Potockiego, o czem tegoż telegraficznie uwiadomiono. Następnie toastował pan Gizowski na cześć Strzeleckiego, Dobrzański na cześć dyrektora Glanza, burmistrz kołomyjski, pan Asłan, dziękował uczestnikom, że obrali gród pokucki za miejsce swego Zjazdu — a zakończył dr. Fedorowicz gorącem i serdecznem „kochajmy się“.

Na popołudniowem, ostatniem posiedzeniu zdał wiceprezes sprawę z czynności krajowej doświadczalni leśnej, a pan Kowalski z odbytych wycieczek, pan Aleksander Zabokrzycki referował zaś o budowie dróg lasowych wobec dzisiejszego postępu. Odczyt ten wywołał długą i ożywioną dyskusyę, w której udział wzięli panowie: Ligman, Wospul, Beer, Korosteński i wielu innych. Prelegentowi wyraził przewodniczący słowa szczerego uznania.

Walne zgromadzenie uchwaliło odbyć następny Zjazd w Jarosławiu lub Rzeszowie.

Rozjechaliśmy się z uczuciem przyjemnem, odświeżeni bezpośredniem zetknięciem się, podniesieni i zachęceni do dalszej pracy, której krajowi bardzo a bardzo potrzeba. A gdyśmy maszerowali lasami, padło niejedno opowiadanie i przypomnienie myśliwskie, do czego tem bardziej nastręczała się sposobność, że dyrektor Glanz i pod względem myśliwskim dokłada wszelkich starań, aby piękny zwierzostan w powierzonych sobie kniejach wytworzyć i utrzymać.

K. Z.

Derewnia d. 21. sierpnia.

(Uwagi o wykazie statystycznym.)

Ostatni numer „Łowca“ przyniósł nam wykaz ubitej w Galicyi zwierzyny w roku 1887. Przedstawia on piękną cyfrę 128.735 sztuk zwierzyny pożytecznej a 17.743 zwierzyny szkodliwej. Cyfra ta jednak mojem zdaniem daleka jest od rzeczywistości. Nie śmiem wydawać sądu o powiatach, których dokładnie nie znam, mogę więc tylko mówić o powiecie Żółkiewskim, który zamieszkuję, i tutaj twierdzę stanowczo, że wykazana ilość zabitych rogaczy, zajęcy, kaczek i wyder jest za mała. Tych ostatnich wykazano w całym powiecie Żółkiewskim tylko trzy, podczas gdy u mnie samego zabito ich pięć. Pisząc te uwagi, daleki jestem od robienia zarzutu szanownemu radcy Lettnerowi, któremu tylko wdzięczność należy się za zebranie dostarczonych mu dat; chciałbym tylko, aby organa, dostarczające tych „urzędowych“ dat, zadały sobie trochę więcej pracy około skrupulatnego zebrania takowych.

Uważam także, iż mielibyśmy dokładniejszy obraz zwierzostanu, gdybyśmy się starali o wykazy robione nie od 1. stycznia do ostatniego grudnia każdego roku, ale np. od 1. kwietnia do ostatniego marca następnego roku. Łatwo bowiem zdarzyć się może, że w jednej i tej samej kniei poluje się jednej zimy w styczniu a następnej zimy w grudniu, a w ten sposób rezultat obu tych polowań figuruje w wykazie z jednego roku, podczas gdy jest on rezultatem

z dwóch lat, i przeciwnie, w wykazie z innego roku, może wiele kniei być pominiętych. Gdy w bardzo wielu wypadkach podobny stosunek zachodzi, mogą z tego powodu powstać znaczne różnice w każdorazowym wykazie zabitej zwierzyny.

Tadeusz Starzeński.

Rychcice (pow. Drohobycki) d. 23. sierpnia.

(Sprawozdanie z błót.)

Na błotach u nas smutno i głucho. Podczas gdy zewsząd na słoty i burze się uskarzano, u nas gorąco i spokojnie. Zbiory z tego powodu niesłychanie prędko i łatwo się odbyły, ale zato myśliwy ciężko odpokutowuje, tem bardziej, iż z początku wcale się świetnie polowania błotne zapowiadały. Dnia 10. lipca po raz pierwszy w tym roku na błota wyruszyłem i wielkiemi były radość moja i zdziwienie, gdy już dubelty na nich zastałem. Było ich wprawdzie nie bardzo dużo, bo tylko cztery, które zabiłem, lecz zapiski myśliwskie o tak wczesnem pojawieniu się dubeltów w tych stronach rzadko wspominają. W r. 1885 12. lipca zabiłem pierwsze trzy dubelty, lecz były one zapowiedzią niezwykle obfitego i długotrwałego ciągu; sądziłem zatem, że i w tym roku tak samo będzie — a nadzieje te zdały się w rzeczywistość przechodzić, gdy 13. lipca już siedm dubeltów ruszyć mi się udało. Tymczasem, począwszy od 13. lipca pojawiało się coraz mniej dubeltów i kszyków. Teraz na błotach, mimo iż wcale nie wyschły, tak już pusto, że i polować nie warto. Dotąd zabiłem 26 dubeltów i 85 kszyków.

Stan zajęcy jest wcale niezły, a sarn także. Szczególnie wielką jest tego roku ilość myłkusów; przypisują to ciężkiej zimie, która widocznie wpłynęła na anormalne ukształtowanie się rogów. Polując na podjazd w jednym tylko małym rewirze, ubiłem od lipca 5 rogaczy a między tymi aż 3 myłkusy. W innych rewirach według spostrzeżeń moich własnych i służby lasowej jest jeszcze więcej anormalnych rogów.

Lisów bardzo wiele tego roku, prawie tyle co przed dwoma laty, w którym to roku za myszami do nas ściągnęły. Pustynniki były i u nas, lecz niestety nie widziałem ich, gdyż nie było mnie na wiosnę w Rychcicach. Wielkie stado około 70 ptaków obozowało przeszło tydzień między 1. a 10. maja, na świeżo owsem obsianych polach. Płoszone zrywały się i kryły w zaroślach, okalających bliski cmentarz. Gdy do Rychcic przyjechałem, mimo skrzętnych za nimi poszukiwań, nigdzie żadnego nie znalazłem.

Juliusz Bielski jun.

Stryj d. 26. sierpnia 1888.

(Z błót i pól.)

Piękne i rozległe łąki w dolinie naddniestrzańskiej nie przyniosły tego roku myśliwcom tej pociechy, jaka co roku prawie jest ich udziałem. Przelot dubeltów był tak mały i tak mizerny, że z wyjątkiem dwóch sztuk, z których na nieszczęście jedna cało uszła — nie zdarzyło mi się pomimo pilnego przeszukania błot w okolicy Ujścia, Nadiatycz, Werynia, przy pomocy niestrudzonego Hektora, ani śladu większej ilości napotkać. A błota tu sławne z dubeltów. Po inne lata jak n. p. przeszłego roku padała ich dziennie na tych samych błotach po 30 i więcej sztuk. Nawet mokre łąki na Weryniu świecą pustkami — a raj dla myśliwca na dubelty i błotne ptactwo na błotach Horośnickich przemieniła posucha tegoroczna na pustkowie, które zamiast przyjemnych wspomnień, raczej żal i zawód w pamięci myśliwca tego roku pozostawiło. Pocieszam się tem, że nietylko okolice Stryjskie posucha tak ciężko dotknęła — miałem bowiem sposobność polować tego roku w ciągu dwóch tygodni na błotach Sieńkowa i Wolicy Baryłowej pod Radziechowem, zwykle dosyć obfitych w ptactwo — rezultat jednak wypadł również źle i z próżną torbą zazwyczaj wracało się do domu. Kszyki pokazują się tu i ówdzie, nie tracę więc nadziei, że jeszcze polowanie na nie będzie ładne, ale będzie to zależało od tego, kiedy i w jakim stopniu Dniestr wyleje a błota i łąki zamoczy. Na obecnych wysuszonych bagnach kszyki nie mają żeru i trzymają się nad brzegami strug i strumyków. Kaczek jak zwykle tak i tego roku mierna ilość. Dziwna to rzecz, jak zmalała ich liczba i jak z każdym rokiem maleje, choć warunki dla nich bardzo korzystne i widoki na wiosnę tego roku dosyć były pocieszające. Opowiadano mi n. p. w okolicy Ujścia, że chłopi znajdywali masami jaja kacze w wysokich zaroślach nad brzegami strug, i chociaż (o ile wnosić można było z ich rozmowy) nikt nigdy jaj nie zabierał i szkody tym sposobem nie wyrządzał — podlotów było bardzo mało i to przeważnie cyranki.

Dotknął okolice Stryjskie los w jednym kierunku, ale za to pocieszył je w innym, gdyż widoki na polowanie na polach i zaroślach przedstawiają się w tym roku bardzo korzystnie. Przepiórek w okolicy Koniuchowa i Dulib dosyć wielka ilość. W przeciągu kilku godzin w dwie strzelby ubiliśmy ich 23 sztuk na stosunkowo bardzo małym obszarze, który został przeszukany, gdyż zboże chłopskie jeszcze nie ze wszystkiem sprzątnięte, więc tylko z grubsza obszukać było można. Zajęcy w kartoflach i owsie pomimo ciężkiej zimy bardzo ładna ilość. W czasie wspomnianego polowania na przepiórki wystawił i wypłoszył ich wyżeł w tych kilku godzinach 6 sztuk, które naturalnie z wielkiem zdziwieniem Hektora bez strzału uszły. Jak na tutejsze strony jest to bardzo poważna ilość. O kuropatwach tylko słuchy zalatują, że się tu i ówdzie trafiają — samemu nie zdarzyło mi się ich spotkać i prawdopodobnie stan ich bardzo wyniszczony.

B. W.

Kobyla (pow. Zbarazki) d. 24. sierpnia.

(Z polowania na błotach.)

W dniach 26. lipca i 6. sierpia polowaliśmy w dwie strzelby na błotach należących do dóbr Dobrowody, Iwańczany i Kurniki. Od lat dwudziestu nie pamiętam tak małej ilości ptactwa błotnego. Na obszarze stukilkudziesięciu morgów błot widziałem wszystkiego tylko 5 kszyków i 3 dubelty, które padły wraz z trzema kszykami. W porównaniu z zeszłorocznem polowaniem na tych błotach, w analogicznej porze i warunkach, rezultat ten nazwać można bardzo złym, gdyż po inne lata można było w kilku godzinach zabić kilkadziesiąt kszyków i kilkanaście dubeltów. Przepiórek jest również bardzo mało. Kuropatwy w czasie ciężkiej zimy z małym wyjątkiem wyginęły, pomimo, iż im rozrzucano karmę. Na obszarze Kobyli są tylko dwa stadka, około 30 sztuk, podczas gdy przeszłego roku ubiłem 30 i jeszcze około 60 zostawiłem na przezimowanie. Najwięcej szkody między kuropatwami robią lisy z lasów zakordonowych.

Mieczysław Konopacki.

KRONIKA.

Przepisy ustawy łowieckiej powinny być pod kontrolą całej publiczności, gdyż wtedy tylko spodziewać się można należytego ich przestrzegania i ścigania przestępców z korzyścią dla zwierzostanu krajowego. Im więcej ludność sama odczuwa potrzebę ustawy i dba o jej szanowanie, tem sprężyściej występuje też i władza, aby wykroczenia przeciw ustawie karać. Do najważniejszych przepisów ustawy należy wstrzymywanie się od bicia zwierzyny w porze jej lęgu. Jeśli więc gospodynie nie będą zachęcały przestępców ustawy łowieckiej do kupowania sarniny w czerwcu lub zająca w sierpniu, ale owszem zwracać będą uwagę władz na niedozwoloną w tym czasie sprzedaż takich artykułów pożywienia, to będzie zmniejszała się i liczba szkodników, którzy tępią zwierzynę bez najkardynalniejszego względu na warunki mnożenia się tejże. Na publicystyce ciąży również obowiązek, aby przychodziła władzy z pomocą, karcąc przekroczenia ustawy łowieckiej i upominając się o ścisłe jej przestrzeganie.

„N. Reforma“ upomniała się przed kilkunastu dniami bardzo energicznie, ażeby zapobiegano biciu zajęcy w niewłaściwej porze. „Nie dosyć — pisze ten dziennik — że w skutek częstych tegorocznych klęsk elementarnych mnóstwo dziczyzny wyginęło, ale na dobitek już teraz kłusownicy na dobre rozpoczęli swoje rzemiosło. Jeżeli bowiem już dzisiaj nietylko po tutejszych restauracyach, lecz i w handlach korzennych podają smakoszom na stół zająca, gdy polowanie na te zwierzęta rozpoczyna się u nas dopiero z dniem 15. września, a w innych krajach z dniem 1. września, to nie ulega wątpliwości, że zające te obecnie tylko przez kłusowników mogły być złowione czy ukradzione i w mieście sprzedane. Nabywający zwierzynę w czasie niedozwolonym staje się współwinnym i jako taki do odpowiedzialności pociągniętym być może. Wprawdzie przestrzeganie ustawy o polowaniu z d. 30. stycznia 1875. należy w mieście Krakowie do magistratu, ale organom miejskim nie zawsze udaje się odkryć podobne przestępstwa, choć straży akcyzowej nie powinna być obcą wspomniana ustawa. Na wałach wokoło miasta widzimy tak gęsto rozstawioną straż akcyzową, że nietylko nikt nic bez opłaty nie może przenieść, ale nawet zając przed psami uciekający nie potrafiłby bezkarnie przebić się przez linię posterunków. Powierzenie więc opieki nad handlem zwierzyną magistratowi powinnoby być istotnie korzystnem dla ochrony krajowego zwierzostanu, lecz straż akcyzowa powinna być dobrze obeznaną z ustawą.“

Artykulik ten wywarł swój skutek; jednemu z handlów krakowskich skonfiskowano transport zajęcy — pokazało się jednak, że to nie były zające krajowe, lecz sprowadzone z Morawy, gdzie wedle ustawy dozwolono już polować na nie i handlować niemi od d. 1. sierpnia. Czyż w Morawie są o tyle odmienne klimatyczne stosunki, że tam już z d. 1. sierpnia i najpóźniejsze młode szaraki są podchowane? lub czy zajęczyce morawskie tak są przezorne, że tylko raz na wiosnę się kocą? Ta anomalia ustawy łowieckiej w Morawie powinnaby być przecież zniesioną, aby nie czynić zgorszenia prawdziwym myśliwym i nie zachęcać kłusowników do naśladowania zbyt gorących w myśliwstwie Morawian.

Ochroną zwierzyny zajmuje się gorąco pruski minister rolnictwa. Rozporządzeniem ministeryalnem, wydanem w lipcu, zawezwani zostali wszyscy prezydenci prowincyonalni, ażeby leśniczym w dobrach rządowych i komunalnych zalecili tępienie ptaków drapieżnych, a w szczególności sokoła wędrownego, jastrzębia i kobuza. Zachęcając do tej czynności, dodał p. minister, że na r. 1888. dano mu do dyspozycyi większy fundusz na premie strzałowe, że przeto i możność uzyskania remuneracyi za tępienie szkodników jest większa. Tępienie to wskazane jest nietylko interesem myśliwstwa, lecz także potrzebą ochrony zaprowadzonych w służbie wojskowej gołębi pocztowych — a statystyczne wykazy wykazują, że w ostatnich latach wystrzelono mniej szkodliwych ptaków niż w r. 1885.

O dowcipnem łowieniu szaraków w porze ustawą niedozwolonej przez budnika kolejowego, wzdłuż linii biegnącej przez Marchfeld, dowiadujemy się z jednego z pism niemieckich co następuje: Budnik pewien — jak i wielu innych — zastawiał przy torze kolejowym sidełka na zająca, a dla wygody czynił to w ten sposób, iż wprowadzał sidła w połączenie z drutem od dzwonka, umieszczonego w swej budce. Skutkiem tego połączenia, skoro tylko biedny szarak się złowił, dawał sam znać zapomocą dzwonka, ażeby budnik przyszedł do niego i raczył go ubić. Pewnego razu, żandarm, przechodząc tor kolejowy, ujrzał zająca, rzucającego się w sidłach, i usłyszał ze zdziwieniem, że w budce dozorcy dźwięczy sygnał kolejowy, choć żaden pociąg się nie zbliżał. Gdy starał się zbadać przyczynę, wybiegł budnik i zawołał wesoło: „A, widzi pan, tak ja to oduczam zające, ażeby do mojej kapusty nie zachodziły!“ Rzekłszy to wydobył zająca i puścił go wolno, dając mu klapsa na drogę. Wyglądało to bardzo niewinnie, lecz żandarm nie uwierzył bezinteresowności budnika i zaskarżył go o tępienie zajęcy w niedozwolonej porze.

Obława na dzika. „Kuryerowi Warsz.“ donoszą z powiatu Sokołowskiego o następującej oryginalnej obławie na dzika:

Włościanie dóbr Sterdyń, zastawszy dzika w szkodzie, poczęli go wypędzać. Zaskoczona samura, mówiąc nawiasem ogromnych rozmiarów, zamiast uciekać do lasu, skierowała się w stronę osady Sterdyń. Natrafiwszy na staw, przepłynęła go, przebiegła ku zdumieniu i przerażeniu mieszkańców rynek i schroniła się na cmentarz kościelny. Pogoń jednak nie ustawała. Wówczas locha, przyparta do muru, przeskoczyła go i wpadła do ogrodu proboszcza. Tu dopiero, broniąc się zaciekle, padła pod razami kijów i wideł.

Złapał się. O rzadkim wypadku myśliwskim opowiada jeden z myśliwych warszawskich. Oto niedawno temu, wychodząc z lasu, ujrzał na widnokręgu krążącego niespokojnie jastrzębia. Domyślając się, iż jastrząb nie bez celu krąży tak po nad polem, ukrył się pan S. w zaroślach, gdy wtem jastrząb spada z impetem w dół, a w chwilę później mknie przez pole, lecz już na... zającu. Na ten widok pan S. wybiegł z krzaków i strzelił do kota. Zając padł, ale z nim razem runął i jastrząb, w śmiertelnych, jak się zdawało, drganiach. Skoro jednak pan S. podbiegł, by pochwycić zdobycz, okazało się, iż jastrząb nie był nawet raniony, brakło mu jeno siły do wydobycia szpon, zanadto w ciało zająca zatopionych. Schwytany w taki samotrzask jastrząb, gdy ujrzał nadbiegającego myśliwca, usiłował wraz z łupem unieść się w powietrze, sił mu jednak niestało i znalazł się w rękach człowieka.

Inny wypadek myśliwski z jastrzębiem, opowiedziany przez niemieckiego myśliwego w *Waidmannsheil* jest niemniej ciekawym. „Byłto piękny dzień letni — opowiada nasz myśliwy — umęczony chodzeniem po polach, położyłem się na brzegu lasu, aby odpocząć. Leżąc na brzuchu, na miękkiej mchów pościeli, walczyłem z drzemką i anim się troszczył o zajadłe krakanie wron, które mi do ucha wpadało. Lecz wtem uczułem dość silne uderzenie w głowę, a wnet po niem drugie. Przerażony zrywam się i widzę nad sobą jastrzębia, mającego właśnie zamiar jeszcze po raz trzeci w kapelusz mój ugodzić. Chwyciłem strzelbę, spuściłem oba kurki — lecz niestety, chybiłem napastnika. I cóż go znęciło do mego kapelusza? Oto podwójny ogon cietrzewi, wspaniała ozdoba myśliwska!“

Zmyślność psa. Warszawski *Opiekun zwierząt* opowiada następujący fakt zmyślności psa:

Przy ulicy Zielnej w jednem z otwartych okien pierwszego piętra, przechodnie widzieli w tych dniach dużego buldoga, przeraźliwie wyjącego. Pies biegał niespokojnie po parapecie okna, oglądając się co chwila wewnątrz. Zachowanie się buldoga zainteresowało kilku przechodniów, którzy zaczęli domyślać się, iż wewnątrz stało się coś niezwykłego. Udano się tedy na górę, lecz zastano drzwi zamknięte. Charakterystyczny zapach spalenizny oraz dym, skłoniły obecnych do wysadzenia drzwi, za któremi znaleziono śpiącego p. ***, podczas gdy okrywająca go kołdra tliła się i wydzielała dym gryzący. Wypadek nastąpił z porzucenia niedogasłego cygara i gdyby nie zmyślność psa, p. *** mógłby uledz groźnemu poparzeniu.

Pustynnik przerzedził się tak w Niemczech jak i u nas. Coraz rzadziej słychać, ażeby go kto spotykał. Gdzieniegdzie przyszło do gnieżdżenia, nie widać jednak młodych, a stadka starych nikną. Przy rozpoczętem polowaniu na kuropatwy powinno się pokazać, czy są młode pustynniki, czy ich nie ma.

Jedyne relacye o zupełnie dobrze odbytem gnieżdżeniu się i stadkach młodych już pustynników, dochodzą nas ze Szlązka pruskiego i z Westfalii. Na Szlązku zauważano je w rewirze królewskim Ottmachau a w Westfalii w miejscowości Werne koło Langendreer. W miejscowości tej właściciel gospody Kersten, wielki miłośnik natury, nadybał w koniczynie gniazdo z 9 jajami, lecz starych ptaków nie można było nigdzie dojrzeć. Jaja były bardziej szpiczaste niż kuropatwie i bladozielone. Ośm z tych jaj podłożono kurze, i wykłuło się z nich 6 piskląt, które się okazały młodemi pustynnikami. Kokoszka karmi je starannie i młode mają na jej wikcie wybornie prosperować. Szczególnością w tym całym wypadku jest i ta okoliczność, że w gnieździe znaleziono 9 jaj, gdyż dotychczas utrzymywało się mniemanie, że „pustynnica" nie znosi więcej nad 4 jaja.

W Saksonii, w miejscowości Nudersdorf koło Wittenbergu, skonstatowano stadko, złożone z pary starych i sześciu młodych pustynników. Tożsamo pod Langensalza widział jeden z myśliwych starą samicę, wiodącą sześcioro młodych do owsa.

Z poza kordonu otrzymaliśmy wiadomość, że w połowie sierpnia upolował jeden z myśliwych starego pustynnika pod Radziwiłłowem. Jest to ostatnia data, jaka nas o ubiciu tego ptaka dochodzi, a odnosi się do tego klasycznego kąta Brody - Radziechów - Radziwiłłów, zkąd i pierwsze okazy pustynników nadeszły.

O pustynniku schwytanym w Sanockiem pisze nam p. Teofil Żurowski w uzupełnieniu swej korespondencyi (Nr. 7.) co następuje:

„Pustynnika, do którego strzelałem, nazajutrz złapano. Widać że choć spiewał odlatując i udawał wesołego, był zbarczony; tak to pozory często mylą. Mieszka w klatce, oswoił się z widokiem ludzi, zajada pszenicę, kaszę i paprze w piasku, którego ma zapas spory. Że się będzie chował, nie podlega wątpliwości. Miły to i wcale ładny ptak. Daj Boże abyśmy go mieli w kraju jako stałego mieszkańca."

Muzeum im. Dzieduszyckich otrzymało także żywego pustynnika i chowa go w klatce.

Wyścigi gołębi pocztowych z Przemyśla do Pesztu odbyły się w d. 26. sierpnia i dzięki pomyślnej pogodzie przyniosły świetny rezultat. Wyścigi te zaaranżował budapeszteński klub „Columbia". Gołębie tego klubu sprowadzono jeszcze d. 23. bm. koleją do stacyi gołębi pocztowych w Przemyślu. Wypuszczone zostały o godzinie 6. rano, w liczbie 22. Każdy gołąb otrzymał na stacyi przed wypuszczeniem tajny numer.

Pierwszy przybył do Budapesztu nr. 9 (właściciel J. G. Gasparetz) o godz. 7. min. 3; po nim przybyły nr. 11 i 6, tego samego właściciela, o godz. 1. min. 7 i o 1. min. 15. O godzinie 1. min. 30 skonstatował obserwator dr. L. Dirner przybycie nrów. 20 i 18. Wreszcie o godz. 5. zjawiły się pozostałe inne gołębie.

Rezultat wyścigów wypadł tedy bardzo pomyślnie. Pomimo niedogodnego terenu (główną przeszkodę stanowiło pasmo Karpat), przebyli skrzydlaci wyścigowcy, uwieńczeni pierwszą nagrodą, przestrzeń 560 kilometrów w linii powietrznej w przeciągu 7 godzin, to znaczy 1200 metrów na minutę.

Ciekawy okaz. Zoologiczny oddział muzeum narodowego w Zagrzebiu otrzymał od b. posła p. T. Reizera ciekawy bardzo okaz ze świata zwierzęcego, t. j. mieszańca, pochodzącego od pawia i indyczki.

W Warszawie z rozpoczęciem sezonu myśliwskiego pojawiły się na targach kuropatwy duszone, tj. łapane w sidła. Władza poleciła niedopuszczać sprzedaży takich kuropatw, a znalezione sztuki po skonfiskowaniu oddawać zakładom dobroczynnym, przekupniów zaś pociągać do odpowiedzialności sądowej.

Dropie. W okolicy Mrozów, w Królestwie Polskiem, ukazało się tego lata liczne stado dropiów, które dawniej nigdy tam nie gościły.

Polowanie na nurzyki. Na Helgolandzie, na pewnej skale, która od licznego gnieżdżenia się nurzyków (*Uria* — die Lummen), skałą nurzyków jest nazwana, odbywają się zazwyczaj w lipcu polowania na te piękne ptaki. Tego roku rozpoczęto polowanie dnia 24. lipca. Parowiec „Freia" przywiózł o godz. 4. rano licznych gości helgolandzkich pod skałę nurzyków, a gubernator odstąpił pierwszy strzał bar. Suttnerowi, na którego łodzi zatkniętą była flaga gubernatorska. Dwadzieścia pięć łodzi, na których było około 60 strzelców, okrążyło półkolem skałę nurzyków, gdzie ptaki te w niezwykłej tego roku znajdują się obfitości. Widać było pomiędzy nimi także krzywodzióbe alki o białych piersiach. Gdy padł pierwszy strzał, zdawało się, że olbrzymi rój pszczół zawisł nad głowami myśliwych. Ze wszystkich strzelb zabrzmiała salwa i wiele ofiar pokryło dość wzburzone i niespokojne morze. Krzykiem pozostałych na gniazdach, nielotnych jeszcze piskląt przywołane, powróciły nurzyki wkrótce do skały, i znowu celnymi strzały ubito wiele. Około godziny 9. powróciły pierwsze łodzie na ląd. Najszczęśliwszy z myśliwych miał 48 sztuk nurzyków na pokładzie; bar. Suttner 40, ks. Brunświcki 20. Helgolandczycy strzelają nurzyki stojąco. Myśliwi, którzy siedząco strzelali i nie liczyli się z szybkim lotem nurzyków, mały tylko sukces odnieśli.

Walka wiewiórki ze szpakiem. Czytamy w czasopismie *Gaea:* „Jednej wiewiórce udało się dostać do wysoko w pniu leżącego dziupła i znajdującego się tam szpaczego gniazda. W gnieździe było troje młodych piskląt. Wiewiórka włożyła łapki przez otwór i starała się uchwycić pazurami jedno ze szpacząt. Trwało to dość długo bez żadnego skutku; snać gniazdko leżało za głęboko. Ale wiewiórka nie ustawała w swych usiłowaniach. Raptem — nadlecieli rodzice; spostrzegłszy co się święci, chwilkę zdawali się być bezradnymi... aż nagle rozpoczęli walkę z niezrównanym przeciwnikiem. Błyskawicznie chyżym lotem spuszczali się nad wiewiórkę i zadawali jej dzióbkami silne uderzenia w głowę... Przestraszona wiewiórka wyciągnęła szybko łapki z dziupła a przysiadłszy na gałęzi, zdawała się jakiś czas rozważać, co jej czynić należy. Ale czy to z chciwości przysmaku, czy też skutkiem lekceważenia przeciwnika — nie ustąpiła. Wdrapała się znowu ku otworowi dziupła i jęła w niej znowu myszkować swą łapką. Skoro szpaki to spostrzegły, rzuciły się znowu na nią, zadając cios za ciosem, a bolesne, kurczowe wstrząśnienia zwierzątka wskazywały, że ciosy były dotkliwe. Wytrzymała je jednak. Wreszcie szpak samiec powziął snać ostateczne postanowienie, rzucił się gwałtownie ku drapieżnicy, siadł jej na grzbiet i począł razić dzióbem podobnie jak dzięcioł w głowę i ku oczom zwierzęcia. Trwało to wszakże niedługo, szpak musiał wzlecieć, gdyż wiewiórka zwinnym ruchem łapki o mało nie uchwyciła go za szyję... Uznała jednak także za stosowne, dać na razie za wygranę i usunąć się na szczyt jasionu. Szpaki jednak ośmielone chwilowem zwycięstwem, i tu nie dały jej spokoju, lecz tem zacieklej uderzały na nią... Bolesnej walce położył kres strzał obserwatora, który wiewiórkę zwalił na ziemię. Szpaki z innych dziupeł przypatrywały się walce spokojnie, ale nie mieszały się do niej wcale. Czy to była pewność, że para zagrożona upora się sama z nieprzyjacielem, czy tylko wyczekiwanie do czasu — trudno orzec. Prawdopodobnie, zwyczajem innych ptaków, byłyby się wszystkie szpaki rzuciły na wiewiórkę, gdyby nie była uległa w walce z jedną ich parą."

Skrzydlaci architekci. Fruwający pod niebem architekci posiadają podziwienia godną znajomość zasad budownictwa i architektoniki. Znają oni najwłaściwsze punkta zaczepienia, obliczają wybornie zasady obciążenia, umieją budować sklepienia, a co do materyałów i ich użycia, prześcigają śmiałością pomysłów wszystkich architektów rodu człowieczego.

Dość spojrzeć na gniazda jaskółki oknówki, aby powziąć uszanowanie dla jej zmysłu architektonicznego. A gniazdo zięby, zawieszone w starannie upatrzonych widłach gałęzi, tak trwałe, ozdobne, i z takim komfortem wewnątrz wyścielone? Materyał tworzą zielone gałązki mchów, płyty szarych porostów, tu i ówdzie piórka puchu, a jak to wszystko zmyślnie połączone za pomocą sierci i włosienia końskiego!

Jeszcze śmielszą i kunsztowniejszą w budowie swego gniazdka jest sikorka, znana pod nazwą „remiza". Na wiotkiej gałązce ponad wodą zaczepia ona przedewszystkiem kilka włókien mocnego łyka, a potem z włókien drzewnych i miękkiej wełny, wyskubywanej z kwiatów topolowych, tka swoje gniazdeczko, torebkę kształtu gruszkowatego z umieszczonym na boku okrągłym otworem, który zwraca zawsze na wschód, bo wie, że słońce poranne to miły i pożądany gość dla izdebki, w której się wychowują pisklęta.

Oryginalnym bardzo budowniczym jest piękna wilga, letni gość naszych ogrodów. Nie dba ona o ozdobę, ale roztropnie i trwale zakłada swe gniazda na wierzchołku drzew, w miejscu, skąd kilka pobocznych gałęzi wychodzi. Jest to kolumnada jej pałacu, który do kolumn zapomocą włókien silnie przytwierdza, ażeby żadna burza nie mogła go zmieść z wierzchołka. Każdy materyał budowlany jest dla niej dobry; nie okazuje w tej mierze wielkiej wybredności. W c. k. nadwornem muzeum przyrodniczem w Wiedniu znajduje się gniazdo

wilgi, które zdjęto z wiązu, niedaleko kawiarni w Praterze. Widać w nim wplecione bilety tramwajowe, skórki włoskiego salami i rachuneczki kelnerskie. W innem, które zdjęto z drzewa we Freudenau, odszukały się szczątki programów wyścigowych, miłośnych liścików itp.

Z większym gustem, lecz niemniej trwale, umieszcza swe gniazdo drozd trzcinowy, spajając niem trzy lub cztery tuż obok siebie wznoszące się łodygi trzciny. Ściany gniazda, uwite z cząstek wiech trzcinowych, z traw i porostów wodnych, są wytrwałe a miękkie. Architekta ten zaopatruje zresztą brzeg swego gniazda pochylonym ku środkowi parapetem, aby które z ciekawych piskląt, wyglądając z gniazda, gdy wicher trzciną kołysze, do wody przypadkiem nie spadło.

Pluszcz korduszek okazuje się znowu wybornym hydrotechnikiem. Szuka on miejsca na gniazdo przy górskim wodospadzie, gdzie brzeg podmyty naprzód się pochyla, a woda spadająca zakrywa go jakby kloszem szklanym. Tutaj to, za tą srebrzystą zasłoną, gdzie woda huczy i pieni się, wyszukuje on miejsce na izdebkę dla swych piskląt. Chcąc się do niej dostać, muszą rodzice przebijać się przez ruchomą zasłonę wody. Nieraz wydaje się zdumionemu widzowi, że ptak zabłąkał się w nurty wodne i śmierć w nich znalazł — a on tymczasem szczebiocze w gnieździe do swych piskląt i śmieje się z człowieka, że jest tak krótkowidzącym.

Śmiało i potężnie, całkiem zgodnie ze swoją naturą, ścielą drapieżce swe gniazda na szczytach wielkich drzew lub na skałach. Tu już nie trawki i łyczka, ale całe gałęzie i konary sterczą po za obwód gniazda, nito obronne bastiony i szańce po za obrębem zamczyska. Samica stara się wprawdzie legowisko wyścielić trawą, słomą, porostami i siercią zwierzęcą, zawsze jednak twardy to materac dla piskląt, które też i do twardego życia nawyknąć mają.

Kania, podobnie jak wilga, lubi także kraść niezwykłe przedmioty do wytapetowania swego gniazda. Znany preparator E. Hodek znalazł pewnego razu w gnieździe kani kopertę z listu pieniężnego pod własnym adresem. List rzeczony zginął mu był przed rokiem w zagadkowy sposób; jakże się więc zdziwił, skoro dobrze zachowana koperta — ale próżna — znalazła się w gnieździe kani. Był to niewątpliwie jakiś bezskrzydły drapieżca, który list z pieniądzmi wydobył, a kopertę próżną w lesie porzucił. Kani spodobało się widocznie pięć czerwonych pieczęci na białem tle i wytapetowała niemi swe gniazdo.

Imponujące swymi rozmiarami jest gniazdo orła. Orły nie budują gniazda co roku, lecz odnawiają je, dokładając co roku świeżych łomaków. W skutek tego tworzą się częstokroć z gniazd orlich monstra, na metr przeszło wysokie, pod których ciężarem nawet stare drzewa stękają i skrzypią. A jakby na urąganie się potędze króla ptaków, ścielą sobie wróble gniazda w gmatwaninie tego stosu gałęzi. W c. k. nadwornem muzeum we Wiedniu znajduje się gniazdo orła bielika, które waży 600 klgr. i mieści w swym obwodzie więcej niż dwadzieścia wróblich gniazd.

To są nasi lotni architekci, a są i zagraniczni, zadziwiający swym zmysłem architektonicznym i obyczajami. Snowacze towarzyskie n. p. *(Ploceus socius)* budują całe kolonie gniazd pod wspólnemi strzechami, inne cudzoziemcy otaczają swoje gniazda całymi wieńcami barwnych muszelek i błyszczących kamyczków, a inny znów ptak, będący także rodzajem snowacza, poszedł jeszcze o krok dalej, bo chwyta chrząszcza latarnika i umieszcza go w gnieździe jako lampę... To nie zmyślenie, lecz najprawdziwsza prawda zoologiczna. Czyż nie godzien podziwu taki architekta?

Ograniczenie połowu ryb — jak donosi *Kijewskoje słowo* — zostało już i na Dniestrze postanowionem, gdyż dotąd prowadzone rabunkowe gospodarstwo wyniszczyło doszczętnie wiele gatunków ryb. Ograniczenia te są następujące: W Dniestrze i w limanie dniestrzańskim od dnia 13. marca do 13. maja połów jest bezwarunkowo zakazanym; zabrania się ustawiania sieci przy ujściu rzeki do morza i przy połączeniach z jeziorami; dalej nie wolno łowić ryb, ważących mniej nad 1 funt, z wyjątkiem czterech gatunków, które nie dochodzą nigdy tej wagi; używać można gęstych sieci tylko od dnia 27. października do 13. marca. Nie stosujący się do tych postanowień karani będą pieniężnie do rs. 50, lub aresztem do 3-ch miesięcy.

Ochrona śledzia. *Oesterr. Fischer Ztg.* donosi, że między Francyą a Anglią rozpoczęły się dyplomatyczne rokowania co do regulacyi połowu śledzi. Dotychczasowy połów, ze względu na nieprzestrzeganie najwłaściwszej do połowu pory, okazuje się coraz uboższy i doprowadza rybaków do ruiny. Ambasador francuski w Londynie wręczył też lordowi Salisbury'emu notę, w której, na podstawie instrukcyi francuskiego ministerstwa spraw zewnętrznych i badań przeprowadzonych przez parlament francuski, zaproponowaną jest ugoda międzynarodowa co do ograniczenia czasu, przeznaczonego na połów śledzi. I w Szkocyi przemawia wiele głosów za tem. Chodzi o to, aby zapobiedz łowieniu nieprzydatnego i niedojrzałego drobiazgu, gdyżby to w końcu doprowadzić mogło do zupełnego wytępienia śledzia.

Trucizna w rybach. W czasopismie *Gaea* podaje znany zoolog dr. Jan Müller niektóre ciekawe wiadomości o jadowitych rybach, jakie mają przebywać przy wybrzeżach wysp Marszałkowskich (na oc. spok.) a szczególniej koło największej z nich, wyspy Jaluit. Wedle skazówki mieszkańców tych wysp, badał Müller jednę z takich ryb, około 2 stóp długą i podobną nieco do makreli, a nazywaną tam „Langi". Otóż pokazało się, że ta sama ryba, której mieszkańcy Jaluitu nawet dotknąć się boją, jest bez wszelkiej obawy spożywaną przez mieszkańców odległych o 180 mil wysp Karolińskich, i nikomu tam nie szkodzi. Na wyspie Namrik, z grupy wysp Marszałkowskich, czynią tę samą rybę nieszkodliwą w ten sposób, że wrzucają ją na cztery tygodnie do zatok rzecznych, gdzie woda słodka nad morską przeważa.

Jako przyczynę jadowitości ryb podawano miedziane okucia drewnianych okrętów kupieckich, któremi się ryby zatruwać mają, lecz w takim razie we wszystkich portach, gdzie dużo okrętów kupieckich stoi na kotwicy, musiałyby być ryby jadowitemi, a zresztą objawy zatrucia przy spożyciu takich ryb nie odpowiadają wcale symptomatom przy zatruciu miedzią. Dr. Müller tłumaczy więc powód gromadzenia się jadu w rybach tem, że woda portów tamtejszych, otoczona pierścieniami raf koralowych, jest stojącą, a dowodem na to jest ta okoliczność, iż pewien gatunek ryb, jeźli pochodzą z laguny, jest jadowitym, podczas gdy w tych samych rybach, jeśli się je złowi w otwartem morzu, nie ma już trucizny.

Jad mieści się we wnętrznościach ryby i udziela się całemu mięsu, gdy ryba pewien czas niewypatroszona leży. Dlatego mieszkańcy wysp tamtejszych, złowiwszy rybę, natychmiast ją patroszą. Dr. Müller konstatuje sam, że na pewnym statku niemieckim załoga rozchorowała się ciężko po spożyciu ryb, które przez dwanaście godzin leżały niepatroszone, poczas gdy te same ryby, wyczyszczone i ugotowane natychmiast, wcale zdrowiu nie szkodziły. Objawy zatrucia podobne są do intoksylacyi alkoholowej: osłabienie w kolanach, niezwykła czerwoność twarzy, zataczanie się i delirya. Szczególnym zjawiskiem jest i to, że zatruty nikogo ze znajomych nie poznaje. Choroba nie kończy się nigdy śmiercią.

I nasz węgorz jest podejrzany o truciznę. Jeden z przyrodników włoskich przedstawił akademii *dei Lincei* w Rzymie rezultat badań swoich, wykazujący, iż węgorz zawiera truciznę, podobną do trucizny jadowitej żmiji. Nie jest ona wszakże bardzo szkodliwa, gdyż nie gromadzi się w pysku lecz rozproszona jest po całem ciele. Nadto trucizna węgorza nie wywiera wpływu na organa trawiące i w ogóle przez gotowanie traci swój jad Węgorz ważący dwa kilogramy, zawiera podobno dosyć trucizny, aby dwóch ludzi wyprawić na tamten świat.

Polowanie na krokodyle, rzeczywiste polowanie, a nie takie, jakie dało powód hr. L. Starzeńskiemu do humorystycznego opowiadania w ostatnim numerze „Łowca", urządzają mieszkańcy nad Łabą. Zdarzyło się mianowicie, że w połowie sierpnia złowiono krokodyla w Łabie pod Hamburgiem. Krokodyl w Łabie! Dość powodu do zdziwienia i przestrachu. Niektórzy mniemali, że to poprostu „kaczka" — znana dobrze w letnich miesiącach kaczka dziennikarska — lecz władze zaczęły na prawdę badać, skąd mógł się znaleźć w tej niewinnej rzece mieszkaniec wód afrykańskich — i oto ogłoszenie policyi hamburskiej, które pod dniem 20. sierpnia na murach miasta plakatowano: „Przed niewielu dniami, z żaglowca, stojącego na kotwicy w porcie, umknęło do Elby trzynaście krokodyli, długich mniej więcej na półtora metra. Gdy zwierzęta te dla kąpiących się mogą się stać niebezpiecznemi, przeto przestrzega się wszystkich, używających kąpieli w Łabie, aby się mieli na baczności." Krokodyle były przeznaczone do ogrodów zoologicznych. Po wydobyciu z parowca, na którym podróż do Europy odbyły, umieszczono je na małym statku żaglowym w zagrodzie drewnianej. Otóż tę zagrodę udało im się połączonemi siłami rozbić i dać nura do Łaby. Co zakłady kąpielowe stracą z powodu strachu kąpiących się, to zyskają niezawodnie właściciele hotelów, bo niepowinno zabraknąć oryginałów angielskich i innych sportmanów, którzy zechcą odbywać w Niemczech łowy na krokodyla.

Szczególne polowanie z chartami. W ziemi Bełzkiej, w kolonii Brukentalu, był swego czasu proboszczem ks. Winnicki, znany z wielu oryginalności. Lubił on namiętnie jesienne polowania z chartami i wyruszał na nie z drużyną myśliwych, ale zawsze pieszo, był bowiem nadzwyczaj wytrwały w pływaniu i bieganiu. Oryginalnie wyglądał na takich polowaniach. Poły swego długiego surduta zapinał w tyle, co przedstawiało rodzaj długiego, ogoniastego fraka, na głowie kapelusz słomiany, a w ręku, a raczej w ustach, trzyłokciowy cybuch z wiecznie dymiącą stambułką, gdyż palił namiętnie.

Pewnej jesieni, wczesnym rankiem, umówiwszy się wprzód z ks. Winnickim, że wspólnie z nim i od niego wyruszymy z chartami na łowy, stanęliśmy przed plebanią w Brukentalu. A no, ruszamy wszyscy konno, a ks. Winnicki pieszo z swą nieodstępną fajką. Niewiedząc jeszcze o tym dziwnym jego zwyczaju, pytam księdza:

— A gdzież koń?

— A ot! — odrzekł z śmiechem, pokazując swój długi cybuch.

Rozjechaliśmy się niby flankierzy po polu i szukamy zająca. Ksiądz idzie na skrzydle i komenderuje: „Skup się!", „rozstąp się!" „A no smyku! przeszukaj te krzaczki." I rzeczywiście wyrywa się kopyra, więc hajże go! Ruszamy z kopyta. Oglądam się, co ksiądz robi — ba, a on biegnie jak wiatr i to nie zbyt daleko za nami. Myślę sobie: niedługo tego będzie, rola lepka, wnet ustanie. Gdzie tam! Ksiądz rusza szparko, jedną ręką podtrzymując spadający z głowy kapelusz, a w drugiej dzierży cybuch. Zając był gracz, więc nie motał chartami w miejscu, lecz jednym sztychem poczesał aż ku lasowi, do którego wiodła przestrzeń pastwiska z rzadka porośnięta trawą, którą zowią szczeciną. Towarzysze moi, lepsze mając konie niż ja, mimo grząskiego gruntu pognali jak wiatr za pomykającym zającem. Ja zostałem w tyle, bo klacz moja zapasiona, mimo serdecznych razów, nie chciała biedz szparko, a w końcu ustała. Zły też byłem, gdy ksiądz Winnicki kłusując mimo mnie pieszo zawołał: „Do mety, do mety! lwowski dżokieju!" i jak kula pędził ku lasowi. Charty wzięły zająca pod samym lasem. Nim się dowlokłem stępą, kopyra był już w trokach, a ksiądz, rozłożywszy się na ziemi, ćmił fajkę.

Polowaliśmy wówczas do późnego wieczora, uszczwawszy kilka zajęcy, a ksiądz przy wszystkich pościgach równym biegł pospiechem. Pytam Hnata, chłopca stajennego, który zazwyczaj wodził charty na smyczy:

— Czy ksiądz tak zawsze?

— A wse, jakijś did'ko w nohah toho ksiondza! — odrzekł spluwając.

Ks. Winnicki sam o sobie mówił, że od dzieciństwa uprawiał ten kunszt chodzenia, za co go w gimnazyum Stanisławowskiem, a później nawet sam ksiądz rektor seminaryum lwowskiego nazywał „latawcem". Był to już człowiek nie młody, liczyć mógł około lat 40, a miał wiele wykształcenia, dużo czytał i doświadczył w swem życiu. Wzrostu był średniego, lecz nader silnie, szczególnie w piersiach zbudowany. Satysfakcyą było widzieć go pływającego. Pływał, jak to mówią, jak trzaska, korpus swój mało co zanurzając — do tego w przeróżny sposób, wznak, bokiem, stojąc, w wodę się wreszcie jak najlepszy nurek zanurzając. Dodam, że i rybakiem był zawołanym. Wiele razy kąpiąc się w Sołokii, zanurzywszy się, chwytał w podbrzeżach, w których woda wymuliła pieczary i nory, raki i węgorze. Częstokroć 5 minut i więcej zdołał przebyć pod wodą. Tak swe myśliwskie wycieczki za chartami jako też i możność dłuższego przebywania pod wodą, zawdzięczał widocznie tylko nadzwyczaj silnie rozwiniętym płucom.

Opowiadanie starego leśniczego. Anno... mniejsza z tem którego, dość, że młodym będąc jeszcze człowiekiem, przyjąłem obowiązek leśniczego u p. C. A był to pierwszy mój obowiązek samoistnego leśniczego. Pewnej niedzieli, na sesyi, mówi mi pryncypał: „Panie leśniczy, jutro daję polowanie. Wielu panów zaproszonych przyjechało już z dalszych stron, reszta bliższych sąsiadów, a z nimi pan Nahojowski, nadciągną wprost do lasu. Otóż, ponieważ pan Nahojowski z całą swą psiarnią przybędzie, udasz się pan jutro o świcie na skraj lasu, bo myśliwy jego nie zna naszej kniei, i zajmiesz się podłożeniem psiarni."

Las, w którym mieściła sią moja leśniczówka, był o jakie pół mili od wsi odległy. Ruszyłem tedy ku domowi. Po drodze wstąpiłem do karczmy celem wzięcia nieco wódki na poczęstunek myśliwego i psiarczyków. Arendarka była stara, o nosie zakrzywionym jak dziób krogulca, tak, że chłopi mieli ją za czarownicę, bo była zła jak sam jej kmotr szatan, z którym podobno w najlepszej żyła zgodzie. Otóż ta czarna nimfa mówi mi:

— Ja jutro przyjadę do pana z asygnatą po dziesięć fur drzewa, które mi się należą.

— Jutro — odpowiadam — drew nie wydam, bo mamy polowanie.

— Hersty, co mnie polowanie? Ja mam asygnatę, pan musi dać drzewo.

— Musi, nie musi — odrzekłem ze złością. — Niechże się Szlomowa darmo nie trudzi, bo drew nie wydam.

Zaczęła na to lamentować skrzeczącym głosem, że już fury popłaciła, lecz ja lamentów nie słuchałem, a wreszcie puściłem mimo uszu przekleństwo jakieś po żydowsku, którem mnie na odchodnem potraktowała.

Nazajutrz przed świtem byłem już w drodze ku „Boczyłom", dość od leśniczówki odległym. Ranek był listopadowy, gęsta mgła pokryła las, tak, że o kilka kroków nawet drzew widać nie było. Obaj z gajowym znaliśmy ścieżki wybornie, przeto śmiało kroczyliśmy naprzód. Dla pewności, jakkolwiek psiarnia pana Nahojowskiego słynęła z dowodności, wziąłem mego ogara „Szukaja", który był wybornym tropowcem.

Ano idziemy. Ja kroczę przodem, za mną postępuje gajowy Chwed, a za nim pies. Szliśmy, o ile zmiarkować mogłem około dwu godzin, a jeszcze do Boczyłów było daleko. Poznaliśmy to po gąszczy drzew, które powinny były rzadnąć, a one przeciwnie coraz były zwartsze, cośmy widzieli wyraźnie, bo je świt zorzy już oświetlił.

— Co to jest Chwedku — pytam leśnego — możeśmy zbłądzili?

— Taże chyba — odpowiedział.

— Tędy źle — pomyślałem — zejdźmy na tę ot ścieżynkę, co się przed nami szarzeje. Ruszamy tedy w kierunku północnym. Naraz, o parę kroków przed nami, o ile mgła dojrzeć pozwoliła, spostrzegłem kroczącą przed nami postać jakąś kobiecą.

— Hej, kto to? — zawołałem.

Postać jednak zniknęła.

— Na kogo pan wołają? — pyta Chwed.

— Alboż nie widziałeś — odpowiadam opryskliwie — baba jakaś szła przed nami.

— Ja nyszczo ne baczyw. Chyba szczo was „błud" czepywsia. A no, pidu ja peredom.

Po ujściu paru kroków, znów spostrzegłem ową babę.

— No — mówię do gajowego — przypatrz się dobrze, idzie przed nami.

— Ja nyszczo ne baczu — odparł po raz drugi z najgłębszem przekonaniem.

Przyspieszyłem więc kroku, aby pochwycić ową postać — wtem spadam z jakiejś wysokości w wodę po same pachy.

— Chwedku ratuj! — wołam.

— Aha, uże znaju — odpowiada — zbłudyłyśmo i zajszły aż nad Dnistor.

Wschodzące w tej chwili słońce umożliwiło Chwedkowi wyratowanie mnie z wielkiego niebezpieczeństwa, bo o jakie dwa kroki przedemną była dniestrowa głębia. Niemniej poznaliśmy, że zbłądziliśmy w czasie pochodu; w zupełnie przeciwną obaj zaszliśmy stronę. Do „Boczyłów" było ztąd około dwóch mil. Po wypoczynku, jakkolwiek byłem cały mokry, ruszyliśmy ku miejscu, gdzie miała nadejść psiarnia pana Nahojowskiego. Oczywiście nikogo już tam nie zastaliśmy. Z oddali dochodzące granie psów i grzmoty strzałów, przekonały nas, że myśliwy pana Nahojowskiego bezemnie podprawił psiarnię.

Pryncypał mocno się na mnie sierdził. Widząc mnie jednak obmoczonym i zmęczonym, wreszcie po świadectwie Chwedka uwierzył, żeśmy błądzili.

— Cóż to, u licha, lasu nie znacie, czy co? — zawołał.

— Tfu! — zakonkludował Chwedko spluwając — koły iszła pered namy jakaś baba, a no, pewne ta czarownycia Szlomowa...

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.